Nr 41 (1500). Warszawa, 9 Października 1909 r. **Rok XXIX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na 4-ty kwartał.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Antypolityczne hasła.

Pośród mnóstwa słów i haseł, które rzucono za dni pobytu Czechów w Warszawie, znalazło się i takie — nie z najmniej poważnej pochodzące strony — że powinniśmy wreszcie zwrócić się wyłącznie ku pracy „cywilizacyjnej" a *oduczyć się polityki*...

Możnaby na takie okolicznościowo wypowiedziane życzenie nie zwrócić uwagi. Ale w tym wypadku opinja nie jest jednostkowa i nie jest tylko w nawiasach życia społecznego. Przeciwnie, dotyka bardzo istotnej w narodzie kwestji — a sposób, w jaki ją rozstrzyga, bodaj że ciągle powszechnieje i staje się zwolna syntezą psychiki ogółu:

„Dość już polityki — czas wziąć się do pracy „kulturalnej", oświatowej i t. p. Łączą się z tym (jak właśnie w wspomnianej wyżej opinji) wymysły na politykę, że jest „stekiem brudów i zbrodni" itd. itd.

Nastrój ten wrogi dla życia politycznego jest znamieniem, z niejednego względu charakterystycznym.

Polityka (τὰ πολιτικά)—oznacza sprawy państwa, układ i zarząd, wprowadzanie w ład stosunków państwowych nazewnątrz i wewnątrz. To też hasło zarzucenia polityki może powstać tylko w narodzie, który sam sobą nie rządzi, *w narodzie, który nie jest państwem.*

Kiedy się myślą przechodzi faktyczne rezultaty wysiłków, leżących w dziedzinie politycznej a przez naród niewolny czynionych, — istotnie, zniechęcić się łatwo. I nie mniej łatwo postawić sobie cokolwiekbądź na skonstruowanym naprędce piedestale i uwielbić wyższość tego nad politykę. Zupełnie w ten sam sposób więzień, oswoiwszy się przez czas jakiś z zamykającymi go ścianami, cofa się w głąb myśli własnej i wnet obwieści ją jako tę, która i w łańcuchach wolność zachowuje lotu.

Niewola ma tę własność podstępczą, że zostawia furtki i nadzieję wymknięcia się przez nie. Ale tymczasem główna brama, korzystając z tego, że nikt jej otworzyć nie usiłuje, wzmacnia się niejako ręką czasu.

Nie myślę przecież ujmować wartości pracy kulturalnej. Ale uważam, że właśnie zależy ona niemal całkowicie od warunków politycznych w narodzie czy państwie. Przy układzie ich normalnym praca ta przygotowuje obywateli, z których każdy musi w przyszłości wejść w mniej lub więcej odpowiedzialny stosunek z całością państwową. A jeśli warunki są nienormalne t. j. jeśli *państwa niema* — to chyba wystarczy chwila rozwagi, aby zobaczyć odrazu ujemny wpływ tego faktu na całą dziedzinę pracy kulturalnej.

Bo oto w tejże opinji przeciw-politycznej czytamy, że w skład pracy takiej (nazwanej tam „cywilizacją") wchodzą: oświata, podniesienie poziomu sprawiedliwości społecznej, dobrobyt wszystkich klas, higjena prywatna i publiczna i t. p., razem wziąwszy otrzymujemy w ten sposób obraz zupełnie przemienionego społeczeństwa, zrzeszonego na podstawach swobodnej, jakby współdzielczej, doskonalącej się ciągle pracy....

Bagatela!...

Ależ jak, którędy i skąd?...

Dobrobyt wszystkich klas społecznych! Kto się choć trochę zajmował ruchem, wystawiającym cel ten jako *oddalony* zresztą ideał, ten wie, że bez współdziałania poważnej, uporczywej, bezwzględnej walki politycznej nie byłoby się osiągnęło nawet tych drobnych rezultatów, które osiągnąć w tym kierunku zdołano. Albo oświata!... Nauczanie wśród warunków tak bardzo niekorzystnych, odejmujących wszelką swobodę działania, wśród bezprawia, zdającego szkołę na łaskę i niełaskę administracji!

Czegokolwiekbyśmy zresztą dotknęli w sferze podnoszenia życia w społeczeństwie niewolnym, wszędzie wyczujemy opór, idący właśnie z sytuacji politycznej. Nasi apolitycy zapominają o tym, że wszelki objaw pracy społecznej może się realizować tylko w ramach ustawodawstwa zasadniczego, a dopełnianego ciągle konsekwentnymi rozporządzeniami, inter-

pretacjami, orzeczeniami i t. d. i t. d. — co wszystko razem stanowi znowu charakter *polityczny* państwa.

Ustawy — oczywiście — nie są same źródłem, jeno wypływem. To prawda. Ale właśnie na to, ażeby *źródło zmienić*, innym łożyskiem poprowadzić wybiegającą z niego wodę, trzeba wysiłków. uświadomień, ruchów, skupionych przy samym źródle.

Klin klinem się wybija — politykę zastępuje się tylko polityką.

Weźmy *dla analogji* przykład wyzwalającej się klasy społecznej, którą dziś jest warstwa robotnicza. To nic, że tam, na Zachodzie, w walce społecznej obecnie coraz silniej w grę wchodzą czynniki pozapolityczne. Ale tam już niemal wszędzie stronnictwa robotnicze mają głos ważny, jeśli nie *przeważny*. Ale tam już we wszystkich parlamentach mocną straż trzymają reprezentanci wyzwalającej się klasy i mają uznane, wypróbowane środki zakładania *veto* i prawną władzę współ uchwalania ustaw. Tam wolność słowa, możność akcji na rzecz przemian w państwie, tam — mimo wszystko — już niczym niewstrzymany pochód po drodze przyjętych haseł i idei.

Jeśli więc w takich warunkach mówi się o ruchu ściśle (nie-politycznie) zawodowym, o dążeniach czysto ekonomicznych np. w dziedzinie kooperatyw i t. p., o pracy wyłącznie oświatowej np. w uniwersytetach ludowych — to tam już wszystkie te usiłowania mają za sobą silne, niezłomne plecy w sferze politycznej i dzięki im bodaj tylko istnieć, rozwijać się mogą. Przytym każdy nieuprzedzony zobaczy, że — nawet kiedy przedstawiciele tej strony walki społecznej występują przeciw zbytniemu rozpolitykowaniu się — i wtedy jeszcze czynią to tylko dla zachowania w czystości, dla poparcia i umocnienia haseł, które w istocie są *polityczne* t. j. mające na celu przemiany *państwowo*-społeczne.

Rzecz jest — zdawałoby się — prosta: nie można naśladować cudzej *formy*, kiedy *treść* tak odmienna. Nie można myśleć o stawianiu pięter, kiedy fundamenty i parter zgoła jeszcze nie gotowe. Nie można krzątać się koło wygodnego umeblowania mieszkania, kiedy się jeszcze *nigdzie nie zamieszkało*. Nie można wybierać się na daleką, ponętnych widoków pełną wycieczkę, kiedy *nogi jeszcze związane niemocą*.

Ale u nas tak się często o najprostszej zapomina prawdzie...

Są ideje, teorje (mieliśmy nawet cały okres taki w przeszłości myśli polskiej) — są takie błędy idejowe, wedle których droga dziejowa idzie *od wewnątrz na zewnątrz*... Należy przedewszystkim skruszyć *w sobie* więzy, *w sobie* stworzyć wolność, miłość wolności... Trzeba się stać godnym tego owocu, który zerwany przedwcześnie będzie bezużytecznym...

Tak. Niewątpliwie wszystko — nawet w dziedzinie politycznej — zależy od tego, *jakim jest człowiek*.

Ale błędem nazwać musimy przeoczenie wpływu, który na duszę społeczną mają warunki zewnętrzne, polityczne. I błędem nazwać musimy niestwierdzenie faktu, że przemiany dziejowe są w części wynikiem a w części źródłem i *zmuszającą* przyczyną przemian społeczno-duchowych. I jeszcze błędną jest w konsekwencji ta opinja, jako przewlekająca momenty przełomowe do chwili odpowiedniej gotowości *całego* społeczeństwa...

Nietylko w dziejach politycznych, na linji czystomyślowej akcja rozwojowa odbywa się właściwie przez *narzucanie*. Indywidualność (która nie zawsze jest jednostka w sensie liczbowym) — indywidualność, wypełniona siłą *„słowa z rozkazem"*, narzuca, wmusza, gwałt czyni.

I jeszcze. Praca od wewnątrz jest bezwątpienia niezbędnym punktem wyjścia. Ale tym większe tkwi w niej niebezpieczeństwo. Dusze można kształtować i to urabianie dusz jest koniecznym, metafizycznym początkiem. Ale tym cięższa odpowiedzialność spada na tych, którzy w pracy tej szczerb czynią, wyjmując chyłkiem, niedostrzeżenie choćby jeden głaz, stanowiący w całości składnik fundamentalny.

Jąć się pracy kulturalnej pod hasłem „bez polityki" — to już opóźnienie najistotniejszych potrzeb narodu, już okazanie braku kwalifikacji do tej pracy, bo widoczna nieudolność *objęcia całości*. Praca taka może przygotowywać, hartować, rozpalać — nie wolno jej oddalać, złudami siły pętać, mroczną osłabiać metafizyką. Musi się ona poczuć i uznać tym, czym jest naprawdę: pomocą, środkiem, akordem towarzyszącym — kuźnią, w której się kują miecze i pancerze.

Dodawać chyba zbyteczne, że to wszystko nie jest dla obrony t. zw. rozpolitykowania — jeno dla stwierdzenia tej zasady, że nad wszelką pracą *zbiorową* musi roztoczyć śmiałe, młodzieńcze ramiona **wielka myśl polityczna**.

Andrzej Baumfeld.

---

6)

Sibilla Aleramo.

KOBIETA

przełożyła z włoskiego

STANISŁAWA GALLONE.

(Ciąg dalszy).

V.

Okna jadalni naszego małego mieszkanka wychodziły na plac, w głębi którego rysowały się sylwetki wzgórz i wązki pas morza. Inne pokoje wychodziły na mały, opuszczony ogród z melancholijną aleją bukszpanów i na szyny kolejowe. Od czasu do czasu ruch przybywających i odchodzących pociągów wprawiał dom w lekkie drżenie, a echo gwizdawek kolejowych rozlegało się w pokojach. Mieszkańców z niższego piętra nigdy prawie nie widziano.

Moje domowe, flanelowe suknie przypominały mi ciągle, że naprawdę jestem *kobietą zamężną*, osobą poważną, z przyszłością ostatecznie ustaloną. Kiedy po raz pierwszy przy boku swego dawnego towarzysza pracy przeszłam przez główną ulicę miasta, z głową obciążoną wielkim kapeluszem z piórami, w krępującej sukni najświeższej mody, poczułam, jak szalona przepaść dzieli mnie od istoty, jaką byłam jeszcze rok temu.

Stanęła mi przed oczami konieczność zżycia się z tą miejscowością, zbliżenia się przez zwyczaje i uczucia do osób, które tworzyły mą nową rodzinę i do środowiska, w którym wzrósł mój mąż i miały wychowywać się moje dzieci.

Niekiedy odwiedzałam matkę, i wtedy wyraźniej jeszcze uwydatniała mi się różnica między światem, który opuściłam, a tym, do którego weszłam. I ogarniała mnie niewypowiedziana tęsknota za przeszłością, za matką, rodzeństwem, ojcem, za marzeniami dzieciństwa.

Matka odczuła stan mój swą chorą, wrażliwą duszą; dwa czy trzy razy z początku mego pożycia małżeńskiego milczenie moje wywołało wyraz bolesnego zdziwienia na jej bladej, zmienionej przez cierpienie twarzy. Z podróży wyniosłam niejasne, mgliste wrażenia: żadnego wzruszenia duchowego, żadnego pobudzenia zmysłów!

Nadzieje dziewczęce! Nawet dla mnie, która

Kwestja rusińska w Galicji.

(Ciąg dalszy).

Jak powiedziane było wyżej, Rusini są przeważnie włościanami, w miastach mieszka ich, w porównaniu z Polakami, stosunkowo mało; łatwo więc zrozumieć, że gimnazja rusińskie w miastach większych nie mogą być tak przepełnione jak polskie. Rusini potrzebują znacznie więcej średnich zakładów naukowych niż obecnie, ale z konieczności zakłady te muszą być mniej liczne od polskich. Jeszcze jedna okoliczność zmniejsza frekwencję gimnazjów rusińskich. Rada szkolna krajowa, złożona z samych prawie Polaków, celowo wybiera na dyrektorów a po części i profesorów gimnazjów rusińskich jednostki liche moralnie i umysłowo, aby w ten sposób niższość tych zakładów naukowych od analogicznych polskich była widoczną. To też zdarza się, że Rusini posyłają swe dzieci do gimnazjów polskich...

Przy uniwersytecie lwowskim istnieje kilka katedr rusińskich, nie tworzą one jednak żadnej całości. Od lat już Rusini domagają się własnego uniwersytetu, jednakże naprożno.

Jeszcze przed laty kilku ogromna większość stronnictw polskich i prasy polskiej wypowiedziała się przeciwko uniwersytetowi rusińskiemu jako zupełnie zbytecznemu, twierdząc, że Rusini nie posiadają odpowiednich sił naukowych i t. p. Podobne stanowisko nie wytrzymuje krytyki: po pierwsze dlatego, że ilość studentów Rusinów we Lwowie, Czerniowcach, Wiedniu i innych uniwersytetach jest poważna i nie mniejsza od liczby słuchaczy uniwersytetu lwowskiego z przed lat kilkudziesięciu; powtóre dlatego, że siły profesorskie zwolna przynajmniej mogłyby się znaleźć — zwłaszcza w Rosji, gdzie jest w świecie naukowym znaczna część Rusinów piszących i wykładających.

Jeżeli Polacy z Królestwa, Litwy i Poznańskiego mogą być profesorami w krakowskim i lwowskim uniwersytecie, to dlaczegóż Rusini z Ukrainy i Rosji właściwej nie mogliby być profesorami rusińskiego uniwersytetu w Galicji. Zresztą wielu młodych i uzdolnionych ludzi z pośród Rusinów szukających karjery w adwokaturze, urzędach, przygotowywałoby się na profesorów uniwersytetu, gdyby perspektywa jego założenia istniała.

Tow. Naukowe im. Szewczenki wydało szereg cennych prac uczonych rusińskich, przeważnie z zakresu historji, literatury, archeologji i etnografji, dotyczących Rusi — które świadczą o tym, że Rusini-uczeni istnieją. Prace te są cenione w Rosji i w Czechach; tylko w Polsce ignorują je całkowicie.

Tow. im. Szewczenki jest rodzajem nieurzędowej rusińskiej Akademji nauk, która powstała z funduszów prywatnych.

Zresztą gdyby Polacy mieli jedynie wątpliwości co do dostatecznej liczby fachowych, naukowych sił rusińskich, to mogliby się zgodzić zasadniczo na uniwersytet rusiński, zakładając kolejno, w pewnych odstępach czasu, poszczególne wydziały.

Niekiedy zdarza się słyszeć, że danie uniwersytetu Rusinom zależy nie od Polaków, lecz od rządu, a zatym do niego Rusini zwracać się powinni. Zdanie powyższe jest tylko wykrętem: jakkolwiek powstanie uniwersytetu zależy od parlamentu centralnego, a nie od sejmu galicyjskiego, to jednak decydujące jest zachowanie się Koła polskiego w Wiedniu i postawa sejmowej większości polskiej, która może w tym kierunku wywierać nacisk na rząd.

W rzeczywistości Polacy nie chcą uniwersytetu rusińskiego i tylko w ostatnich czasach niektórzy politycy polscy oświadczyli ogólnikowo, że nic przeciwko niemu nie mają, a to tylko dlatego, że obawiali się stopniowego pomnażania katedr rusińskich na uniwersytecie lwowskim, a przez to jego całkowitej utrakwizacji. Rusini zaś, jakkolwiek woleliby mieć własny uniwersytet, dążą na razie do utrakwizacji uniwersytetu lwowskiego nie na złość Polakom, lecz dlatego, że łatwiej jest państwu stworzyć dodatkowe katedry rusińskie niżeli całkiem nowy uniwersytet, że w sprawie utrakwizacji łatwiej liczyć mogą na pomoc rządu centralnego, aniżeli w sprawie otrzymania nowego uniwersytetu.

W interesie Polaków leży naturalnie utrzymanie odrębnego, całkowicie polskiego uniwersytetu we Lwowie; osiągnięcie jednak tego celu uskutecznione być może i usprawiedliwione tylko wtedy, jeżeli i Rusinom da się niezależne wyższe ognisko wiedzy t. j. oddzielny uniwersytet rusiński. Tymczasem polityka polska sprzeciwia się utrakwizacji uniwersytetu

---

nie zdążyłam rozkołysać wyobraźni marzeniami, rozczarowanie było gorzkim! Pozostała mi w pamięci jedynie sprzeczka, wynikła bez żadnego poważnego powodu, trzeciego dnia, we Florencji. Trzymała nas ona całe popołudnie w hotelu, w uporczywym milczeniu.

Troska matki sprawiała mi jednak ciągle przykrość; spodziewała się ona zapewne widzieć mnie inną po powrocie: bardziej siostrą, niż córką, z duszą przepełnioną tymi samymi wrażeniami, które sama mi wspominała jako najpiękniejsze chwile swej przeszłości. Doprowadziła mnie do przyznania się, że *tajemnicy* nie było już dla mnie, że *wszystko* poznałam już rok temu w ten posępny, prawie zapomniany poranek...

W stosunku do teściowej nie czułam potrzeby żadnych zwierzeń; pragnęłam tylko zdobyć ją i jej najbliższych i nie wydawało mi się to trudnym. Uważali mnie oni za jakąś inną, lepszą, z delikatniejszego, droższego metalu zrobioną i byli w gruncie dumni z tego. Teściom moim wydawałam się dzieckiem; bratowa przeciwnie musiała odczuć we mnie siłę ukrytą pod pozorną kruchością, lecz siłę prawdopodobnie nieszkodliwą. Cała rodzina zresztą uważała męża mego za godny mnie ideał.

Wieczorem zastawałam teściową opartą o wielki piec kuchenny, którego płomień chwilami oświetlał parterową kuchnię. Drzwi jej prawie zawsze były otwarte na ogród warzywny. Z policzkami zaczerwienionymi od ognia, teściowa, o regularnych, wydatnych rysach, zdawała się młodszą, prawie ładną; uśmiechała się do mnie, nie mogąc zdobyć się na to, aby nazywać mnie po imieniu. Teść również nie umiał mówić mi *ty*. Wysoki olbrzym, nieco zgarbiony, powolny w ruchach. Rano robił zakupy. Czy „pani hrabina zadowolona?" pytał córkę. Córka, owa panna, mająca około lat trzydziestu, narzekała zawsze; charakter miała gwałtowny i samolubny, zimny i fantastyczny zarazem; matka drżała przed nią.

W miasteczku nazywano ją „herodem", o czym nie wiedziałam, jak nie wiedziałam również, że cała rodzina nie cieszyła się sympatją. Teść, kilkanaście lat temu miał jakąś sprawę i został skazany, co się w miasteczku dość często zdarzało. Mąż opowiedział mi zawiłą historję o urazach i zemstach, by wykazać niewinność ojca. Wzruszenie jego przy tym opowiadaniu przekonało mnie. Teraz, w kuchni pełnej cieni i świateł, zdawało mi się, że widzę chwilami niezgrabne ruchy teścia. Ściany jakby zwężały się około niego, tworząc celę więzienną, w której spędził dwa lata... Cichy, ostrożny, z rzadkimi przebłyskami weso-

lwowskiego, ale jednocześnie nic nie robi w kierunku otwarcia rusińskiego.

Sejm uchwala od czasu do czasu nieznaczne zapomogi kulturalnym instytucjom rusińskim. Stawia przytym jednak często ciężkie, a niekiedy i upokarzające warunki, których Rusini nie mogą przyjąć.

Rusini dopuszczani są do posad rozmaitych (w sądownictwie jest ich stosunkowo niemało); naogół jednak wyższych nie piastują; ci zaś, co wogóle otrzymują urzędy, są zawsze prawie ludźmi stojącymi zdala od ruchu narodowego.

W sejmie Rusinów jest dwa dziesiątki, stanowią oni $^{1}/_{8}$ część ogółu posłów. W parlamencie centralnym, opartym obecnie na powszechnym, równym, tajnym i bezpośrednim prawie głosowania, liczebny stosunek posłów rusińskich do polskich jest dla pierwszych znacznie korzystniejszy niż w sejmie.

Musimy uwzględnić tu jeszcze fakt, że w Galicji istnieją w administracji liczne nadużycia, i że Rusinom często krzywda się dzieje przez to, że niezawsze prawa im należne są ściśle przestrzegane.

Nam wydać się może, że prawa, zdobyte w Galicji przez Rusinów, są bardzo znaczne w porównaniu z tymi, z jakich korzystamy sami w Prusach i w Rosji. Zapominać jednak nie należy, że to, co dziś mają Rusini, osiągnęli najczęściej przy pomocy nacisku z Wiednia, który, od chwili gdy stronnictwo moskalofilskie słabnąć poczęło na korzyść narodowców, zaczął prowadzić wobec Rusinów politykę przychylną naogół, chcąc osłabić potężne wpływy Koła polskiego. Następnie mieć należy na względzie tę jeszcze okoliczność, że Rusini w Galicji tworzą bądź co bądź prawie połowę ludności.

Zresztą nawet to, co mają dziś Rusini, dane im zostało po ciężkiej walce, po wstrętnych targach, często pod wpływem presji z Wiednia.

Polacy, a przynajmniej ich olbrzymia większość, nie chcą tego zrozumieć, że Rusini są narodem, że trzeba to uznać i stosownie do tego postępować, że nie można zbyć ich żądań daniem kilku gimnazjów...

Konserwatyści wschodnio-galicyjscy, tak zwani podolacy, są ludźmi zasklepiałymi w swoich przesądach, każda zmiana jest dla nich przykrą, Rusinów uważają za plemię, któremu należy dać szkołę elementarną, ale nie za naród mający liczne potrzeby. Konserwatyści zachodnio-galicyjscy są zachowawcami na sposób europejski, ludźmi wykształconymi, liczącymi się więcej z rzeczywistością od podolaków, to też prędzej od tych ostatnich skłonni są do pewnych ustępstw dla Rusinów. Nie mają jednak w tym względzie żadnej koncepcji szerszej, żadnego programu określonego.

Demokraci różnych odcieni zachowują się wobec Rusinów w sposób szowinistyczny, zwłaszcza demokraci narodowi. W prasie tego odłamu spotkać można często najdziwaczniejsze poglądy w kwestji rusińskiej. Niedawno *Słowo Polskie* zamieściło artykuł, w którym powiedzianym było, że chociaż we Wschodniej Galicji Rusini stanowią większość, to jednak całą Galicję uważać należy za kraj wyłącznie polski.

Demokraci krakowscy z *Nowej Reformy* jak i lwowscy nie mają w kwestji rusińskiej żadnego programu i przeciwni są dalszym ustepstwom ze strony polskiej. Demokraci narodowi w czasach ostatnich wysunęli sprawę katastru narodowego, to jest stałego liczebnego stosunku posłów polskich i rusińskich w sejmie i parlamencie. Kataster narodowy może być pożyteczny — o ile przeprowadzony zostanie sprawiedliwie, ale kwestji rusińskiej nie rozwiązuje.

Ludowcy wobec Rusinów zajmowali zazwyczaj stanowisko nader nieokreślone; w zasadzie wypowiadają się za tym, aby dać im możność swobodnego rozwoju narodowego, nigdy jednak nie określili bliżej co przez to rozumieją, a najczęściej występowali przeciwko konkretnym dla nich ustępstwom. Obecnie Rada Naczelna Stronnictwa Ludowego postanowiła przez specjalną uchwałę dążyć do tego, aby zapewnić Rusinom możność swobodnego rozwoju narodowego, i tym razem jednak nie określiła nawet ogólnie reform, jakie uważa za niezbędne w tym kierunku

Dziennik Polski z powodu tej uchwały wystąpił z artykułem, w którym napada na p. Stapińskiego za to, że wypowiedział się za ustępstwami dla Rusinów; zdaniem jego należało wpierw pokazać im, że jesteśmy silniejsi od nich w Wiedniu, a dopiero później, gdy zmienią wobec nas ton, nawiązać rokowania ugodowe.

Publicysta z *Dziennika* zapomniał widocznie o tym, że, jak doświadczenie pokazało, Koło polskie pomimo chęci nie może przeszkodzić w Wiedniu tendencjom rządu centralnego do popierania dążeń polityczno-narodowych Rusinów.

Zresztą ludowcy powtarzają często w swojej prasie i na zebraniach frazesy o konieczności utrzymania „polskiego stanu posiadania w Galicji". Frazes ten, uchodzący za szczyt patryjotyzmu, jest objawem zu-

---

łości, która kiedyś musiała tkwić w jego naturze, wzbudzał we mnie litość i obawę zarazem...

Stosunki domowe rodziny mego męża dziwne robiły na mnie wrażenie: w domu moim wszystko było bardziej jednostajne, karne, jasne. Lecz w tym grubiańskim środowisku, miało dla mnie urok to poczucie tradycji, ten szacunek dla zwyczajów, ta ożywiająca całą rodzinę w niektórych chwilach miłość związków krwi, imienia, ziemi. W wielu drobnych sprawach poczynając od pewnych specjalnych potraw, gotowanych z powodu jakiejś uroczystości, aż do zaciekłej wobec obcych obrony brata, na którego chwilę przedtym wymyślano między sobą, rodzina ta dawała mi wrażenie życia zupełnie innego, jak to, które urobiło mój charakter i upodobania.

Jednocześnie ogarniało mnie odrętwienie, jakby potrzeba bezwładu, zupełnego poddania się otoczeniu. Poddawałam się więc zupełnie woli męża. Stopniowo jednak budził się w mym organizmie wstręt, który przypisywałam zmęczeniu, wyczerpaniu. Nie starałam się przezwyciężyć oziębłości, która wprawiała w zdumienie i wywoływała skargi ze strony męża; inaczej zachować się nie mogłam. Jedynie poczucie, że jestem pożądaną sprawiało mi przyjemność, lecz i ta znikała pod wpływem wstrętnych wrażeń, ordynarnych lub szalonych wyrazów. Zamykałam oczy, starałam się nie myśleć, pozostawałam bez ruchu.

Potym zasypiałam. Nie miałam jeszcze skończonych lat siedemnastu! Spałam długo, spokojnie, snem dziecka.

O jedenastej posługaczka odchodziła. Sama przyrządzałam obiad i kolację, bez niechęci, ale i bez przyjemności. I dni, niewiadomo jak, mijały. Prowadziłam w domu niektóre rachunki fabryczne, dane mi przez ojca, chcącego pozostawić mi pewną niezależność; lecz zajęta byłam tylko trzy godziny dziennie. Czytałam dziennik, pisałam listy do przyjaciółek i nauczycielek.

W pierwszym miesiącu złożyło mi wizyty kilka pań, oddałam je znudzona i jednocześnie zadowolona z swej nowej roli pani domu.

Wolałam jednak, gdy wieczorem odwiedzał nas jaki przyjaciel męża. Wówczas mąż, po pochwałach mych zalet, częstował gościa pewnym specjalnym gatunkiem wina. Pili, palili, czasami zamienili jakiś płaski żart, rzucili trywialne słowo, zapominając o mej obecności; kiedy rozmowa wchodziła na politykę, i ja, czując opuszczającą mnie nieśmiałość, zabierałam głos, przeciwnicy moi bowiem pod względem poziomu umysłowego byli równi memu mężowi. Pokonywałam ich z łatwością swą logiką.

pełnego niezrozumienia życia społeczno-politycznego wogóle, rozwoju historycznego narodów i naszego własnego położenia. Istotnie wyobraźmy sobie, że każdy z czynników życia politycznego, w jakimkolwiek państwie, chce bezwzględnie utrzymać swój stan posiadania. Wówczas żadna zmiana jest niemożliwa, natomiast zapanowałby powszechny zastój. Cała historja jest ciągłą zmianą rozmaitych „stanów posiadania". Dynastje, rozmaite stany, klasy i narody zmieniały często bardzo swój stan posiadania. Czyżby jedni Polacy stanowić mieli wyjątek?

Niektórzy publicyści polscy z obozu demokratycznego i ludowego lubią powtarzać frazes o konieczności zgodnego pożycia narodu polskiego i rusińskiego, o tym, że Polacy nie są przeciwnikami rozwoju kulturalnego Rusinów i t. p.; z chwilą jednak kiedy występuje jakaś konkretna sprawa, jakieś żądanie Rusinów — natychmiast występują ze strony tych panów albo protesty, albo zastrzeżenia, sprowadzające do zera reformy na korzyść Rusinów. Słyszy się też często frazes powtarzany zwłaszcza przez narodowych demokratów, że Polacy przelali dużo krwi na Rusi, że siedzą tam dawno, że włożyli dużo pracy i t. p. i że dlatego muszą utrzymać to, co otrzymali w spadku od ubiegłych pokoleń. Każdy podbój pociągał za sobą przelew krwi, ofiary, prace i t. p. ze strony zdobywców, a jednakowoż ci, co głoszą te frazesy, dalekimi są od uznania każdego podboju za słuszny.

Znajomość przeszłości jest konieczną dla zrozumienia teraźniejszości, ale nie może ona krępować obecnych pokoleń w swobodzie ich akcji politycznej. „Prawa historyczne" do pewnych prowincji są frazesami o ile nie liczą się z istniejącymi warunkami. Powoływanie się na nie jest objawem zupełnego nierozumienia spraw polityczno-społecznych; tymbardziej że „prawa historyczne" są bardzo różne i sprzeczne między sobą w rozmaitych epokach.

Wymienione wyżej stronnictwa polskie w argumentacji swojej przeciwko Rusinom posługują się często frazesem, że ci chcą Polaków wyrzucić za San, że więc żadne ustępstwa ich nie zadowolą. Przypomina to argumentacje publicystów i polityków pruskich, dowodzących, że w zaborze pruskim należy giermanizować Polaków, ponieważ ci myślą o niepodległości Polski.

Jedynie socjaliści w Galicji są życzliwie usposobieni wobec ustępstw dla Rusinów. Jednak nie mają w tym względzie szczegółowego programu, ponieważ nie zanosi się na szybkie rozwiązanie konfliktu polsko-rusińskiego. A jednakowoż sprawa rusińska w Galicji jest bardzo doniosłą. Walka polsko-rusińska w formie obecnej jest stratą energji i osłabia obie strony, utrudnia też zdobycie dla Galicji, jako kraju, tych korzyści materjalnych, politycznych i kulturalnych, do jakich ma prawo.

Żywioły postępowe w Galicji nie zdobędą nic w sejmie dla wprowadzenia w życie swoich zasad bez sojuszu z Rusinami, którzy w ogromnej swojej większości są żywiołem demokratycznym, a nawet radykalnym

Antagonizm polsko-rusiński stwarza sztuczną solidarność „w imię interesów narodowych" między konserwatystami, demokratami, a ludowcami—contra Rusinom.

Bez złagodzenia kwestji rusińskiej niemożliwy jest pokojowy, szybki rozwój Galicji w duchu postępowym i demokratycznym.

Rusini ze swojej strony występują również przeciwko Polakom z frazeologją nacjonalistyczną, w sposób niesłychanie gwałtowny robiąc im niekiedy przesadzone zarzuty.

Nacjonalizm wszędzie jest ten sam. Zapominać jednak nie należy, że Rusini naogół są stroną słabszą od nas, że mają prawo wymagać, abyśmy rozumieli ich żądania, ponieważ i nasze dążenia najsłuszniejsze spotykają się ciągle z oporem naszych wrogów. Uwzględnić należy wreszcie i to, że Polacy są więcej wyrobieni politycznie od Rusinów, że więc powinni od nich okazywać więcej trzeźwości i taktu.

Zresztą fakt, że Rusini gwałtownie nas atakują, nie powinien mieć wpływu na sprawę zaprowadzenia modus vivendi między dwoma narodami w Galicji.

Chcąc usprawiedliwić opór stawiany żądaniom Rusinów ze strony polskiej, niektórzy nasi publicyści powołują się na dwa fakty: 1) że samo istnienie narodu rusińskiego jest sporne, czego dowodem ma być stronnictwo moskalofilskie; 2) że Rusini powinni dać wpierw dowody żywotności swojej pracy na polu narodowym, czego jeszcze nie zrobili, a później dopiero żądać pomocy ze strony kraju i państwa.

Chcąc należycie ocenić te „argumenty", należy zapoznać się z pracą narodowo-kulturalną Rusinów, oraz z ustosunkowaniem sił moskalofilów i narodowych stronnictw rusińskich.

Czasem szliśmy do jednego z jego krewnych, przywódcy stronnictwa demokratycznego, w którego domu zbierało się wielu panów, niektórzy z żonami. Bezmyślne, plotkarskie rozmowy kobiet mieszały się z hałaśliwymi dysputami mężczyzn. Większość przyglądała mi się z źle ukrytym uprzedzeniem, przypominając sobie me dziwactwa z lat dziecinnych. Jeden tylko młody doktór, toskańczyk, niedawno mianowany, mieszkający w domu owego krewnego, zdradził pewne powinowactwo duchowe ze mną—przez swój umysł analityczny, poprawność języka, i, jak sądziłam, myśli. Wykształcony, o żywej inteligiencji, musiał interesować się mną, zauważył bowiem przeciwieństwo między mym życiem a duszą, która rzucała nieraz cień na me dziecięce czoło.

Chciałam zainteresować się życiem miejscowym, lecz nie miałam teraz styczności ani z robotnikami, ani z wieśniakami, mieszczaństwo zaś okazało się jeszcze bardziej ordynarnym niż przypuszczałam; bałam się, że ta pospolitość i mnie pochłonie. Już martwota prawie wszystkich kobiet miejscowych wydawała mi się pod pewnymi względami godną zazdrości.

Wychowanie dzieci, kuchnia i kościół zapełniały życie tych leniwych i powierzchownych istot. Mężczyźni, szumnie rozprawiający o wolnomyślności, wymagali od żon wykonywania wszelkich praktyk religijnych. To niewypowiedziane nigdy pragnienie tkwiło prawdopodobnie i w moim mężu. Dzieci natomiast nie pragnął i powtarzał mi to często. Nie czułam też w głębi swej istoty nadziei nowego istnienia, któreby należało do mnie, było mi drogim, rozjaśniło mi życie.

„Przyjaciele zachwycają się tobą, mówią że mam żoneczkę godną zazdrości..." powtarzał mi często. Nie byłam przekonaną. Wiedziałam dobrze, że uważają mnie za ładną, lecz byłam innego zdanie o sobie; twarz moja zdawała mi się twarzą postarzałego dziecka. I to niewiele mnie obchodziło.

Płomień dawnej dumy ogarnął mnie pewnego wieczora, gdy porządkowałam w szkatułce męża papiery, listy, drobne pamiątki.

Jakież zdumienie owładnęło mną, gdy obok swych listów, znalazłam listy pisane przed sześciu, ośmiu laty, przez jego pierwszą narzeczoną, dziewczynę, która pozostała panną i zazwyczaj rzucała na mnie przy spotkaniu spojrzenie pełne nienawiści. Przeczytałam jeden, pełen błędów ortograficznych, zdań, jakby przepisanych z „podręcznika listów miłosnych." On, grzejąc się przy piecu, uśmiechał się z zadowoleniem.

W dalszym ciągu, znalazłam krótsze listy kobiece. „Są to listy z czasów, kiedy byłem w pułku, wiesz,

III.

Obecnie wśród Rusinów działają cztery stronnictwa: narodowo-demokratyczne, radykalne, socjalno-demokratyczne i moskalofilskie. Trzy pierwsze stoją na gruncie narodowo-rusińskim. To znaczy — uznają że Rusini stanowią naród zupełnie odrębny zarówno od polskiego jak i rosyjskiego. Tylko moskalofile wyznają pogląd, że Rusini są odłamem narodu rosyjskiego.

Powszechne, równe, tajne i bezpośrednie wybory do parlamentu, w 1907 r. przeprowadzone w Galicji, dają pojęcie dość dokładne o sile stronnictw rusińskich narodowych i moskalofilskiego.

narodowi-demokraci uzyskali	267,637	głosów.
radykali „	79,648	„
socjal.-demokraci „	28,607	„
Razem stron. narodowe otrzymały	375,892	„
Moskalofile zaś „	171,000	„

W parlamencie wiedeńskim zasiada 22 posłów ze stronnictw narodowych i tylko 5 moskalofilów.

Głosy otrzymane przez tych ostatnich były bardzo rozproszone w poszczególnych okręgach. Nawet ci nieliczni posłowie moskalofilscy zostali wybrani przeważnie dlatego tylko, że nie mieli kontrkandydatów z narodowych stronnictw rusińskich.

Również wybory do sejmu galicyjskiego w 1908 r. wykazały stosunkową słabość moskalofilów.

Kandydaci stronnictw narodowych rusińskich otrzymali 3,400 głosów, moskalofilów zaś tylko 1,800 głosów.

Czytelników dziwi zapewne mała wogóle ilość głosów przy wyborach do sejmu w porównaniu z tą, jaka ujawniła się podczas wyborów do parlamentu. Różnica ta wynika z tego, że do sejmu obowiązuje kurjalny system wyborczy i że w czwartej kurji włościańskiej, z której wychodzą posłowie rusińscy, wybory są pośrednie. Powyższe liczby głosów przy wyborach dotyczą nie prawyborców lecz wyborców.

W sejmie galicyjskim zasiada 12 posłów narodowych i 9 moskalofilów. Tych ostatnich byłoby znacznie mniej, gdyby nie poparcie Polaków i zabitego namiestnika Andrzeja Potockiego.

(d. n.). *Ludwik Kulczycki.*

Reforma rolna w Rosji.

(Dokończenie).

Jest jeszcze inna bardzo poważna przyczyna wpływająca na zmniejszenie kupna ziemi przez włościan: drożyzna ziemi bankowej. Rosyjski Bank Włościański zawsze tyle tylko miał z interesami włościaństwa wspólnego, że kosztem chłopów pragnął ratować upadającą własność wielką.

Po uchwalonej reformie agrarnej kupował „na potrzeby ludności małorolnej" zrujnowane majątki obywatelskie po cenach tak wyśrubowanych, że dziesięcina ziemi bankowej kosztuje o kilka do kilkudziesięciu rubli drożej, niż na rynku. Prócz tego przy kupnie ziemi każdy nabywca musi wypłacić Bankowi 5 — 10% tytułem wydatków administracyjnych, lub w ostateczności spłacić je ratami w ciągu lat 3-ch pod grozą utraty nabytego gruntu. Jeżeli uwzględnić jeszcze tę okoliczność, że plany, według których Bank kupował i sprzedaje obecnie ziemię, bardzo często nie odpowiadają rzeczywistości, — niepodobna się dziwić, że chłop rosyjski, pomimo gwałtownego niekiedy braku ziemi, coraz mniej chętnie korzysta z dobrodziejstw Banku Włościańskiego. Ta niechęć i nieufność do ziem bankowych przybiera w niektórych miejscowościach państwa (gub. nadwołżańskie) charakter formalnego bojkotu masowego, i władze bywają zmuszone sprowadzać zdaleka przesiedleńców, nie obeznanych dobrze z rynkiem miejscowym, w celu rozkolonizowania nabytych majątków obywatelskich.

Widzimy zatym, że działalność Banku Włościańskiego, uwikłana w sidła polityki agrarnej rządu i obrony interesów rujnującej się szlachty, stawia bardzo poważne przeszkody w nabywaniu ziemi przez włościan. Dlatego też niema podstaw do przypuszczeń, by działalność ta mogła się poważnie przyczynić — przynajmniej w blizkiej przyszłości — do zaspokojenia głodu ziemi wśród ludności małorolnej i zaważyć decydująco na rozwoju stosunków ekonomicznych wsi rosyjskiej.

Tak się przedstawiają dotychczasowe rezultaty reformy rolnej ze strony czysto *zewnętrznej, ilościowej. Wewnętrzna* wartość dokonywanych zmian gospodarczych, ich mniejsza lub większa przydatność naturalna do celów zdrowej i intensywnej gospodarki włościańskiej, ich żywotność wreszcie pozostają, oczywiście,

---

dziewczyna z traktjerni"... Lecz nie zwracałam już uwagi na niego; czytałam depeszę podpisaną zdrobniałym imieniem kobiecym, szukałam daty: zeszłego lata, podczas naszego narzeczeństwa...

Podarłam te papiery w drobne kawałki—nie śmiał się sprzeciwić.

Dlaczego nie wierzyłam mu, gdy dla usprawiedliwienia się opowiadał mi jakąś historję? I czemu cierpiałam tak strasznie? Czyż kochałam tak bardzo tego człowieka? O. doprawdy, zapadało się coś we mnie, walił się gmach, który wola moja zbudowała.

Skończyło się na wybuchu. Błagał mnie, bym zapomniała, bym się nie dręczyła. Był wszak teraz moim mężem, mym towarzyszem i tym, na którego miał zwolna lecz pewnie działać mój wpływ szlachetny.

Ojca nie widywałam prawie wcale; czasami mówił mi o nim mąż, który uważał go za coraz bardziej wymagającego i zgorzkniałego, czasem rodzeństwo lub matka. Był prawie ciągle poza domem i dziećmi nie zajmował się zupełnie. Kiedy przychodził do domu, drżeli wszyscy i skoro tylko drzwi się za nim zamknęły, matka wybuchała płaczem, zapominając o obecności dzieci; najmłodsza siostrzyczka z trudnością uspokajała ją swym smutnym, bolesnym uśmiechem dziecięcych usteczek. Druga siostra, teraz już trzynastoletnia, spokojna, poważna, sama nie wiedząc o tym, obejmowała zwolna cały kierunek domu. Brat żalił się gorzko i oburzał, że ojciec nie posyła go na dalsze studja, lecz zmusza do ciężkiej pracy w fabryce. Zdawało się, że wszyscy oczekują jakiegoś smutnego rozwiązania.

Nie miałam odwagi sądzić ojca. Czyż nie opuściłam go, nie uczyniwszy ani jednego ruchu, aby zatrzymać go w domu, przy dzieciach, które niegdyś były jego dumą? Czyż mając lat piętnaście, miałam prawo odsunąć się od niego ze wzgardą, od niego, któremu zawdzięczałam wszystko, co było we mnie dobrym?

Częścią tych wyrzutów zresztą obarczałam matkę. Jej słabość, jej zmęczenie bolały mnie tymbardziej, że w biernym poddaniu się przeznaczeniu, czułam się do niej podobną.

Lecz nieszczęsna cierpiała strasznie nietylko duchowo. Przełom fizjologiczny burzył jej organizm; w jej rozmowach bez związku chwytałam odbłyski przełomu, który wstrząsał teraz do głębi mą treścią kobiecą. Zdawało mi się, że tymbardziej nie mogę być pocieszycielką kobiety takiej, jak moja matka. Och, bo ja naprawdę nie byłam, jak sądziła, zakochaną żoną, istotą szczęśliwą, zdolną do litości dla niej, wyciągającej ręce do minionych już na zawsze rozkoszy.

absolutnie nieznane. Tymczasem sam fakt komasowania gruntów, powstawania folwarków i zagród włościańskich mówi jeszcze bardzo mało; powstaje pytanie: *jak* jest wykonywana komasacja gruntów nadziałowych, w *jakich* warunkach naturalnych powstają folwarki i zagrody, czy w zapędach reformatorskich nie gwałcą czasem samej natury? Otóż z tej strony nasuwa się mimowoli ze względów ogólnych bardzo dużo poważnych wątpliwości. Racjonalne wykonanie tak wielkiej ilości robót rolnych, jaką podaje sprawozdanie powiatowych komisji urządzających, wymagałoby niewątpliwie ogromnej ilości fachowców rolników i agronomów, których Rosja wcale nie posiada. Komisje do spraw rolnych składają się niemal wyłącznie z obywateli ziemskich i urzędników i bardzo są skłonne, jak to stwierdzają poważni świadkowie naoczni, do zbyt biurokratycznego traktowania sprawy. „Rząd centralny pragnie komasacji, folwarków i zagród — więc twórzmy folwarki i zagrody" i tworzą komisje powiatowe nowe gospodarki włościańskie przeważnie w kancelarjach, na planach papierowych, mało się troszcząc o to, czy nowe twory nie urągają miejscowym warunkom topograficznym i klimatycznym. Biurokratyczny korespondent organu ministerjalnego (*Rossija* z d. 16/VIII st. st. r. b.) pisał między innymi o robotach kolonizacyjnych w pewnej wsi gub. Tulskiej: „W kancelarji gminy wisiał plan gruntów nadziałowych i zamierzonej reorganizacji gospodarstw. Mile było spoglądać na plan ów, *podzielony na kwadraty i prostokąty*"... Jeżeli i inne komisje powiatowe z takim samym zapałem dzielą plany ziemi chłopskiej na „kwadraty i prostokąty", nie można wątpić, że w praktyce bardzo dużo nowych gospodarstw chłopskich — okaże się zgoła niezdolnymi do egzystencji normalnej.

Niemniej, nowe gospodarstwa włościańskie wymagają dobrego zagospodarowania, to jest, przedewszystkim dostatecznej ilości inwentarza żywego i martwego. Chłop rosyjski naogół nie jest zamożny w inwentarz; tymczasem nic jakoś nie słychać, by rząd rosyjski udzielał na ten cel specjalnych kredytów. Dotychczas rząd wydawał nowym gospodarstwom włościańskim nieliczne zapomogi jedynie na budowę mostów i kopanie studni. Cóż będzie chłop robił na swoim folwarku, jeżeli nie będzie miał potrzebnej ilości krów, koni i narzędzi rolniczych?...

Wreszcie jeszcze jeden wzgląd ogólny, zasadniczy. Źródło niemocy ekonomicznej włościaństwa rosyjskiego, jak zaznaczaliśmy na wstępie, tkwi w jego ciemnocie i prymitywnej uprawie roli. Dopóki chłop nie nauczy się bardziej intensywnych sposobów gospodarki rolnej, dopóki nie zacznie szeroko korzystać z doświadczeń i wyników wiedzy rolniczej, dopóty mało mu dopomogą folwarki i zagrody. Wszelakie kategorje gospodarstw są tylko formą, której treść daje naprawdę tylko kultura i umiejętna praca. W tym względzie jest najbardziej potrzebną szeroka pomoc państwa dla zacofanej ludności włościańskiej, ale w tym właśnie kierunku państwo robiło i robi dotychczas najmniej a właściwie nic. W rzeczy samej niema ani rzetelnej oświaty ludowej, przystosowanej do potrzeb włościaństwa, ani niezbędnej wiedzy rolniczej, ani stacji doświadczalnych, ani pomocy agronomicznej, ani kredytu meljoracyjnego, któryby ułatwiał przejście do wyższych sposobów uprawy roli. Pomoc, jaką w pewnym zakresie niesie ludności ziemstwo wielkorosyjskie, jak wykazała praktyka dotychczasowa jest stanowczo niewystarczającą i ze względu na ogrom zadania i ze względu na zbyt szczupłą kompetencję samorządną ziemstwa. Z nędzą chłopów rząd walczył dotychczas środkami niemal wyłącznie mechanicznymi; ten sam system stosuje i obecnie, zaś to mechaniczne pojmowanie sprawy obniża do zera znaczenie niektórych z gruntu pożytecznych zamierzeń dzisiejszej reformy rolnej.

Ujemny jej wpływ na stosunki ekonomiczne wsi rosyjskiej zarysował się dość wyraźnie. Mamy tu na myśli przyśpieszony proces masowej proletaryzacji chłopów, objaw, na który zwracają uwagę nawet niektórzy zwolennicy agrarnej polityki rządu. Proces ten istniał niewiątpliwie i dawniej, nie przybierał wszakże rozmiarów tak szerokich i form tak ostrych, jak od czasu zapoczątkowania reformy rolnej. Stanie się to dla nas zupełnie zrozumiałym, jeżeli uwzględnimy tę okoliczność, że skoncentrowanie w ręku Banku Włościańskiego olbrzymich zapasów ziemi wywołało ogromne podniesienie się tenuty dzierżawnej (w niektórych miejscowościach o 200% przeszło!) a przeto nadzwyczaj utrudniło, lub wręcz uniemożliwiło istnienie wielkim rzeszom małorolnych. Korzystając więc z obecnie przysługującego im prawa, muszą oni swe gospodarki nadziałowe wprost likwidować na warunkach bardzo niedogodych, gdyż Bank Włościański z reguły odmawia kupowania ziemi chopskiej jak rów-

---

Mój ojciec... co on odczuwał? Co mówił mu doktór, wmuszający w chorą lekarstwa i starający się przekonać ją o potrzebie zmiany trybu życiu, wyjazdu, poddania się wpływom organizmu, czasu, dzieci? Czy i on zaklinał ojca, jak i sama chora, by miał litość i kłamał? Zrozumiałam, że doszło już do tego, że gotową była przyjąć jałmużnę jego miłości, choćby dzielonej z rywalką.

Czułam, że ojciec się nie cofnie. W czterdziestym drugim roku życia stał u szczytu dobrobytu materjalnego; trwał w wojnie przeciw ludziom i rzeczom, ożywiony silniejszym niż kiedykolwiek postanowieniem n e uznawania swych win i błędów.

Nie wracał ku przeszłości, nie mówił sobie z pewnością, że był czas, kiedy mógł uniknąć tego nieszczęścia, tej walki... Czy cierpiał? Czy ogarniały go błyski przestrachu? Ani jedno słowo, ani jeden ruch tego nie zdradzał. Pojmowałam tylko, że zupełnie już jawna niechęć całego miasteczka, oburzenie mieszkańców podniecane przez miejscowego proboszcza, zazdrosnych mieszczan i oddalonych robotników, drażniło jego miłość własną.

Tymczasem tygodnie mijały szybko. Odrętwiała duchowo i fizycznie, nie spostrzegłam prawie, jak nadeszło lato.

Pewnej nocy zapukano gwałtownie do drzwi. Weszła matka podtrzymywa przez mego teścia.

W niedbałym ubraniu, z błędnym wzrokiem wyrzucała z ust jakieś niezrozumiałe dźwięki. Wyszła z domu, nie zwróciwszy uwagi służącej, błądziła po ulicach, być może bardzo długo, w końcu spotkała mego teścia, który przyprowadził ją do mnie. Może pragnęła odszukać ojca.

Skamieniałam. Przed oczami stanęło mi otwarte mieszkanie i biedne, opuszczone, nieświadome dzieci. Wobec tej nędzy ludzkiej, szukającej mnie wśród nocy, dziki bunt ogarnął całą mą istotę... Drżałam jak w febrze... I obrzucałam nieszczęśliwą gorzkimi wyrzutami, szalonymi jak jej... Och, moja matko!... I to z miłości dla człowieka, który już nie był jej wart.

Widzę się wpółubraną, obok swego łóżka, podczas gdy ona, oparta o ścianę, patrzy na mnie i płacze. Wezwany doktór dał jej silny środek uspokajający. Po pewnym czasie poprosiła o odprowadzenie jej do dzieci.

Położyłam się. W mroku, w ciszy wyobraźnia moja odtwarzała okropną scenę i czułam wzrastającą gorączkę a wraz z gorączką gwałtowny wstręt, nienawiść do życia, niepojęte znużenie...

Zarodek nowego życia, powstający w mym łonie, opuścił mnie... (D. C. N.).

nież nie udziela kredytu pod zastaw. Z uciążliwego położenia małorolnych korzystają natomiast w pełni owi „silni", na których rząd liczył, rozpoczynając reformę agrarną — i skupują za bezcen nadziały zrujnowanych-chłopów. Dzierżawa ziem bankowych, któraby dla małorolnych mogła w pewnej mierze zastąpić dzierżawę ziem prywatnych, nasuwa bardzo poważne niedogodności gospodarcze, gdyż jest krótkoterminową — jednoroczną i wskutek tego ogromnie utrudnia należytą uprawę roli.

Nie mamy danych, dotyczących ilości zlikwidowanych gospodarstw chłopskich tej kategorji, lecz z pewnych oznak można sądzić, że liczba ta jest bardzo poważna. Prócz tej jest jeszcze inna kategorja gospodarstw, zrujnowanych z pomocą... Banku Włościańskiego. Ze sprawozdań Banku wynika, że w ciągu lat 1907 — 1708 odebrano chłopom za niezapłacenie rat zaległych 300 tysięcy dziesięcin ziemi; stanowi to według przeciętnej dla Rosji normy gospodarki włościańskiej blizko 50 tysięcy gospodarstw. W tej kategorji znaczny odsetek stanowią nabywcy ziemi z dwuch lat ostatnich, którzy nie mogli zapłacić wspomnianych już wyżej rat bankowych na „wydatki administracyjne"; w myśl wymagań nowego prawa musieli oni zlikwidować uprzednio swe grunta nadziałowe, a więc pozostali obecnie bez roli. Należy wreszcie nadmienić, że wielu z włościan, którzy w ten czy inny sposób utracili swe ziemie nadziałowe, zwracają się obecnie do władz odnośnych z prośbą o darowanie im nowych nadziałów.

Trudno przewidzieć w chwili obecnej ostateczny wynik reformy, który będzie wypadkową bardzo wielu złożonych czynników, nie dających się określić z dostateczną ścisłością. Zdaje się wszakże, że przyszłość przyzna trochę racji i p. Stołypinowi, który mówił o dobrobycie chłopów „silnych", i jego przeciwnikom politycznym, którzy mówili o nędzy chłopów „słabych". Niewątpliwie, reforma obecna dała początek poważnemu ruchowi burżuazyjno-chłopskiemu i w następstwie wywoła polityczną i socjalną dyferencjację włościaństwa: wyniesie mniejszość na wierzch — większość strąci w dół.

Ekonomiści rosyjscy i znawcy gospodarki włościańskiej w Rosji zapatrują się na dalszy rozwój stosunków rolnych bardzo pesymistycznie.

Nie negując bynajmniej zewnętrznego, ilościowego powodzenia reformy agrarnej, przewidują, że doprowadzi ona państwo do kolosalnego przesilenia i wstrząśnienia gospodarczego.

Wł. Rawicz-Szczerbo.

NA DOBIE.

Neoslawizm na wywrót.

Mimo żarliwej propagandy pp. Bobryńskich, Krasowskich, Iskrickich et tutti quanti—neoslawizm nie czyni postępów i w najmniejszym stopniu nie oddziaływa na politykę wewnętrzną Rosji w kierunku przez naszych slawistów zapowiadanym. Nietylko nie udało się p. Dmowskiemu uświadomić Rosji o niebezpieczeństwie niemieckim i zwrócić ją frontem na zachód, lecz przeciwnie—codziennie nowe fakty stwierdzają coraz ściślejsze pokrewieństwo (z wyboru) między hakatyzmem pruskim a szowinizmem istinnoruskich żywiołów.

Rasowe węzły okazują się wątłą pajęczyną w porównaniu z między-rasową żelazną obręczą wspólnego interesu, w której uścisku pęka pod obustronnym naporem owo „przedmurze Słowiańszczyzny", które miało odegrać tak ważną rolę w nowym kursie politycznym.

Zakaz używania języka polskiego na zebraniach publicznych — ów osławiony paragraf 12-ty niemieckiego prawa o zebraniach i stowarzyszeniach, został świeżo przetransportowany nad Dniepr i Newę i zastosowany do polskich zebrań przedwyborczych. Tu okazało się, że — jak często bywa — uczniowie prześcigli swych mistrzów, gdyż w Niemczech zebrania przedwyborcze są wyłączone z pod zakazu, dzięki czemu w tych dniach w Berlinie odbył się przy udziale licznych uczestników polski wiec polityczny.

Polscy wyborcy w Kijowie i Potersburgu zaniosą skargę przeciw temu administracyjnemu rozporządzeniu, nie opartemu na żadnym prawie miejscowym. Ponieważ prawo niemieckie jeszcze w Rosji nie obowiązuje, ponieważ i wobec prawa niemieckiego zresztą rozporządzenie administracyjne w tym wypadku nie byłoby uzasadnione, należy przypuszczać, że skarga odniesie pożądany skutek.

Bliższym i dotkliwszym dla nas objawem neoslawizmu na wywrót jest dokonana przez warszawską inspekcję szkolną próba przekształcenia szkół gminy ewangielickiej na szkoły niemieckie.

Język polski i jako wykładowy i jako przedmiot nauczania ma być z tych szkół całkowicie usunięty, a miejsce jego zająć ma niemiecki — lub rosyjski.

Gmina ewangielicka ma zanieść skargę przeciw temu rozporządzeniu. Jesteśmy wszyscy oswojeni z myślą, że każdej chwili, z każdej strony spaść na nas może grad pocisków niszczycielskich, przed którym ani się schronić, ani zabezpieczyć nie możemy. Najdotkliwsze, najbardziej niespodziewane klęski przyjmujemy jako nieodłączne właściwości tego klimatu politycznego, w jakim nam żyć sądzono. A jednak niekiedy kusi nas chęć zrozumienia, jaki może być cel tej lub owej na pozór bynajmniej nie dającej się logicznie umotywować represji.

Obecna — jest właśnie jednym z tych nieodgadnionych rebusów politycznych. Jeśli już wielokrotnie i z polskiej i nawet z rosyjskiej strony dowodzono faktami, że rusyfikacji przez szkołę nawet z punktu widzenia interesu państwowego nie można uzasadnić i obronić — to jakiż interes może mieć państwo rosyjskie w giermanizacji przez szkołę? Czyżby istotnie chodziło mu o zwalenie i rozbicie w puch owego „przedmurza", o całkiem bezpośrednie oparcie się biurokracji rosyjskiej o biurokrację niemiecką za cenę wysługiwania się jej interesom i torowania jej drogi podbojów na wschód Europy?

Wiedzieliśmy że Niemcy w Rosji do uprzywilejowanych inorodców należą; nie spodziewaliśmy się jednak, aby — uwzględniając ich zachłanny apetyt — miano im dawać na pożarcie innych inorodców.

W pierwszym rzędzie widocznie Polacy, a zwłaszcza Polacy pretestanci mają być przeznaczeni na „Deutschenfutter". Ale apetyt wzmaga się w miarę jedzenia. Kto po tej zakąsce stanowić będzie następne danie?

Cios w próżni.

Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych zamknięto wszystkie szkoły Związku katolickiego i zabroniono Związkowi zajmować się nauczaniem.

Nie zajmowaliśmy się nigdy bliżej szkołami Związku katolickiego, w zasadzie nie uznajemy racji bytu szkoły wyznaniowej i gdybyśmy mieli możność swobodnego organizowania polskiego szkolnictwa, zdążalibyśmy otwarcie i szczerze do nadania mu świeckiego i niezależnego od wszelkiej doktryny religijnej kierunku i charakteru. Nie mniej wiedząc, że w naszym opłakanym stanie oświaty i w naszych nad wyraz smutnych warunkach politycznych każda

szkoła jest dla społeczeństwa skarbem, każda gromadka dzieci ogarnięta jakim takim wychowawczym wpływem jest wprost wyłowioną z fali ulicznego zepsucia — musimy uznać to ministerjalne rozporządzenie jako nowy cios wymierzony w społeczeństwo polskie.

Na szczęście konkretnych strat rozporządzenie to nie pociągnie za sobą. Zamknięcie szkół Związku katolickiego spotyka się z nieprzewidzianą lecz niewzruszoną przeszkodą: faktycznie szkoły te nie istnieją. Związek katolicki — jak wyjaśniono — miał wprawdzie w swym programie i legalizowanej ustawie zakładanie szkół jako jedno z zadań, lecz do spełnienia go przystąpić nie mógł, gdyż nie otrzymał na żadną szkołę koncesji. Spotkały się tu więc przysłowiowe dwa grzyby w barszczu: najprzód odmowa pozwolenia na otwarcie, — potym jeszcze nakaz zamknięcia!

Krążyły wieści, że wobec niemożności spełnienia tego nakazu postanowiono podobno tymczasem zawiesić w działaniu sam Związek. Rzecz jasna: myślano, że coś przecież zamknąć trzeba, kiedy już rozporządzenie wydano. Pogłoski te okazały się mylne.

Inicjatywa tym razem nie wyszła pono z Warszawy lecz z Petersburga, i to z natchnienia synodu prawosławnego, który upatruje w Związku katolickim współzawodniczącą z nim potęgę.

Oporni endecy.

W Warszawie odbywały się wybory do Rady Państwa. Znaczenie polityczne tego faktu jest niezmiernie małe — tak małe jak wpływy naszych przedstawicieli w biurokratycznej Izbie parów. Z natury rzeczy wstęp do niej mogą mieć tylko te warstwy, które w każdym społeczeństwie są podwaliną prądów najskrajniej zachowawczych, podporą naturalną każdego reakcyjnego rządu. A jednak w Warszawie na tle wyborów do Rady Państwa wywiązało się coś w rodzaju walki stronnictw, a nawet nastąpiło dalsze rozszczepienie w łonie jednego — do niedawna panującego stronnictwa. Zapowiedzią tego nowego rozczłonkowania endecji były listy otwarte posłów Steckiego i Harusewicza przeciw proklamowanej przez *Głos Warszawski* rezygnacji z kandydatur partyjnych na rzecz realistów. Przebrała się miara cierpliwości najkarniejszych nawet szeregowców armji p. Dmowskiego. Komenda kapitulacji nie znalazła posłuchu i oto w decydującej chwili — wybuchnął bunt — który udaremnił akcję wyborczą i zerwał dokonaną poza plecami stronnictwa umowę leaderów. Przeszli p. L. br. Kronenberg, p. Ostrowski, p. Choromański, odrzucono kandydaturę p. Szebeki, a że wobec tego poprzednio wybrani solidarnie zrzekli się mandatów — rezultat wyborów pierwszego dnia równał się zeru.

Nie mało trudu i mozołu kosztowało przełamanie tej niespodzianej obstrukcji endeckiej. Wprawdzie *Słowo* twierdzi, że cała sprawa polegała na pewnym błędzie formalnym t. j na całkiem niepotrzebnym powstrzymaniu się od głosowania samych kandydatów, lecz już to samo ciekawie charakteryzuje położenie. Pan Szebeko dostał głosów 29 przeciw 30. Oczywiście, gdyby był głosował sam na siebie, byłby miał 30 czyli połowę — i jeszcze trzebaby głosu prezydującego dla przeważenia szali. Nazajutrz przeforsowano tę niepopularną kandydaturę w sposób również charakterystyczny. Żadne perswazje nie zdołały pozyskać dla p. Szebeki ani jednego głosu więcej; nie mogąc więc zwiększyć mniejszości — dla przeważenia szali zmniejszono większość: dwaj oponenci zdecydowali się wyjechać, redukując opozycję o dwa głosy, dzięki czemu otrzymano upragnioną przewyżkę jednego głosu. Jakże cennym nabytkiem musi być dla Rady Państwa pan Szebeko! jakąż historyczną wagę mieć będą jego wystąpienia! ileż blasku dodać muszą zasługom realistów — by uzasadnić walkę stoczoną o niego z najpotężniejszym stronnictwem!

Bądź co bądź to Pyrrusowe zwycięstwo kursu p. Dmowskiego, okupione ścisłym zszeregowaniem się „opornych” żywiołów jego własnego obozu, jest wielce ciekawym signum temporis! Dotychczas odwracały się od niego stopniowo demokratyczniejsze grupy stronnictwa: robotnicy, młodzież, inteligiencja. Gdy teraz z kolei stanęła przeciw niemu zwartym frontem sama śmietanka, arystokracja narodowej demokracji — ów najwierniejszy do ostatka Brutus — w cóż się obróci wielkość opatrznościowego męża stanu?

Czyliż mu przyjdzie jak Almanzorowi głowę skłonić pod dachem wczorajszego wroga — zwalczanej niegdyś ugody? Realiści „męztwo cenić umieją”, — czy im tylko p. Dmowski nie przyniesie tej dżumy, od której sam ginie.

Organizacja emigracji.

Myśl poruszona przez nas w *Prawdzie* w artykule *Szczęście za morzami* — była widocznie na czasie, gdyż w innych kołach znalazła gorliwych rzeczników i zaczyna przybierać kształty konkretne. Celem ujęcia sprawy wychodźtwa pod kierunek i kontrolę społeczeństwa, celem uniknięcia strat i ofiar, które ten ruch żywiołowy pociąga za sobą skutkiem ciemnoty i bezradności emigrantów a niesumiennej spekulacji agientów — postanowiono założyć u nas stowarzyszenie na wzór Towarzystwa emigracyjnego w Krakowie. Przedwstępne zgromadzenie wyznaczono na dzień 7 października w lokalu Tow. Pracy Społecznej. Zaproszenie otrzymało liczne grono osób z różnych kół inteligiencji.

Zanim to pierwsze zgromadzenie określi bliżej plan i kierunek działania nowego Towarzystwa, o czym zdamy sprawę w następnym numerze *Prawdy*, musimy z uznaniem zaznaczyć dążność inicjatorów do zdobycia współdziałania ludzi różnych ideowych kierunków. Dopomoże to do wszechstronniejszego oświetlenia sprawy i objektywnego jej traktowania.

Postawienie jej odrazu na właściwym gruncie jest zadaniem pierwszorzędnej wagi a nastręczającym łatwe do przewidzenia trudności. Towarzystwo opieki nad emigracją nie może sobie zakładać za cel — przeciwdziałanie emigracji lub jej ograniczanie. Jeżeli inicjatorzy nie zrozumieją, że jedno wyklucza drugie, to nie wyrwą wychodźców ze szpon niesumiennej spekulacji agientów, lecz tymbardziej utrwalą jej panowanie. Nie można też zamieniać organizacji na przedsiębiorstwo finansowe, aby znowuż nie popaść w drugą ostateczność i nie stać się tylko biurem emigranckim, konkurującym z innymi.

Na szczęście działalność galicyjskiego Tow. emigracyjnego może stanowić gotowy przykład — i linję wytyczną, która uchroni od wypaczenia w jednym lub drugim kierunku.

W kwestji miejsca pod pomnik Chopina.

Prawie wszystkie urządzane u nas konkursy artystyczne nie udawały się z przyczyny źle obmyślanego programu. Ileż to pracy poszło na marne jedynie dlatego, iż zawsze po konkursie spostrzegano, że należy to lub owo zmienić w programie samym, co naturalnie sprowadzało kompletną zmianę warunków, do których nadesłane a nawet odznaczone prace już zastosować się nie mogły. To samo się dzieje obecnie i z konkursem na pomnik Chopina. Oto ni mniej ni więcej, tylko teraz, w kilka miesięcy po zamknięciu konkursu, komitet zajmujący się sprawą pomnika przyszedł do przekonania, że plac Warecki, na którym miał stanąć pomnik, jest nieodpowiednim.

Słuszność tego spóźnionego nieco twierdzenia rzuca się każdemu w oczy. Mówiono o tym i pisano

zaraz po ogłoszeniu warunków konkursowych, dla czego jednak komitet nie zastanowił się nad tym wcześniej, kiedy jeszcze był czas, a nie obecnie, kiedy taką masę prac wykonano na ów konkurs, kiedy niektóre z nich odznaczono, a jedną wybrano do wykonania? A przecież komitet naraził przez to na niepotrzebny wysiłek tylu ludzi, którzyby inaczej prace swe obmyślili, gdyby wiedzieli, że pomnik stanie nie na placu Wareckim, jak to komitet ogłosił, lecz w parku Ujazdowskim, jak teraz to postanowił.

Przecież wszystkie na konkurs ten nadesłane prace były obmyślone jako mające się zastosować do placu otoczonego wysokimi domami, a nie do miejsca zadrzewionego jedynie; przecież i odznaczona pierwszą nagrodą i wybrana do wykonania praca Szymanowskiego również do otoczenia architektonicznego była pomyśloną i zastosowaną i jedynie tylko na tym tle znajdować się może. Przecież w kompozycji Szymanowskiego rolę główną odgrywa nie figura Chopina, jakby to należało, ale drzewo, wierzba o gałęziach niemożebnie wygiętych przez wiatr i pochylonych w jedną stronę. Przecież to drzewo i jako całość i we wszystkich swoich szczegółach nic z prawdą, nic z naturą nie ma wspólnego, jakżeż więc może ono znaleźć się w otoczeniu drzew prawdziwych i żywej roślinności? Przecież gałęzie tego fikcyjnego drzewa jakiś huragan przekręcił i wygiął w jedną stronę, gdy tymczasem lekki wiatr poruszać będzie gałężmi i wierzchołkami drzew w parku w stronę przeciwną. Lub gdy wiatru nie będzie, drzewa otaczające pomnik ten stać będą nieruchome i świadczyć o pogodzie, a wierzba Szymanowskiego zawsze nam o jakiejś zawierusze prawić będzie.

Nie należy tylko mniemać, że owo drzewo *jakoś tam* zginie w otoczeniu roślinności prawdziwej i przez to wielce nie będzie kontrastowało. Przeciwnie; równać się ono będzie największym z nich, gdyż będzie miało około 12 metrów wysokości, będzie więc olbrzymie i tym bardziej będzie rażące.

Projekt więc postawienia pomnika Chopinowi według projektu Szymanowskiego — w jakimkolwiek bądź parku czy ogrodzie, upaść musi zupełnie. I oto wyłania się kwestja: czy wystawić pomnik Chopinowi w parku Ujazdowskim i ogłosić konkurs nowy, czy też wykonać pracę Szymanowskiego i dla niej poszukać odpowiedniego miejsca.

Pierwsze byłoby zupełnie racjonalne, ale na to komitet się nie zgodzi Nie znajdzie on tyle odwagi cywilnej, by przyznać się do błędu i stać się przez to moralnie odpowiedzialnym za tyle prac z jego winy wykonanych na marne. Pozostaje drugie, znaleźć odpowiedni plac, a takiego wcale niema w Warszawie prócz właśnie tego nieodpowiedniego Placu Wareckiego.

Jak tutaj sobie Komitet poradzi?

Gdybyśmy byli bogaci, i gdyby projekt Szymanowskiego był arcydziełem, należałoby dla projektu tego obmyślić specjalne architektoniczne otoczenie, któreby z nim stanowiło całość; coś w rodzaju odkrytej hali, lub olbrzymiej niszy. Projekt Szymanowskiego, jako obmyślony nie po rzeźbiarsku lecz po malarsku, tylko w podobnym otoczeniu znajdować się powinien. Nietylko w parku czy ogrodzie, gdzie jest on absolutnie niemożebnym, ale nawet na każdym placu będzie on robił fatalne wrażenie, gdyż jedna strona jego, pień owej wierzby i tył, przedstawiają się jako masy zupełnie nieforemne i nieestetyczne.

Co więc począć?

Ogłosić konkurs nowy? ale czy to da jaką pewność iż rezultat będzie lepszy, aniżeli wykazał konkurs podrzedni? A artysta, którego pracę wybrano i ogłoszono jako mającą być wykonaną, czyżby nie był w prawie zmusić komitet do dotrzymania warunków odbytego konkursu?

Cokolwiekbądź z tego wszystkiego wyniknie w przyszłości, mamy już pewnik jeden, a mianowicie: że z powodu źle obmyślanych warunków konkursu zły wypadł rezultat.

Wincenty Trojanowski.

Głos z Parany

w sprawie pogrzebu Juljusza Słowackiego.

Sprawa złożenia na Wawelu prochów Wielkiego Piewcy bólów i nadziei narodu: Juljusza Słowackiego, brutalne wystąpienie kardynała Puzyny przeciwko woli ogółu wstrząsnęły do głębi serca polskie nietylko na Ziemi Ojczystej bijące, ale za morzami dalekimi.

W parafji Arankarja, najżywotniejszej i najruchliwszej z pomiędzy kolonji polskich Parany, odbył się w Towarzystwach ludowych szereg odczytów o Słowackim, wypowiedzianych przez p. Jadwigę Jahołkowską. Przystrojony liśćmi palmowymi i kwieciem portret Słowackiego, poważny nastrój zebranych, łzy rozrzewnienia w oczach przy słuchaniu natchnionych słów Wieszcza świadczyły o żywym odczuciu nuty, drgającej najżywiej w pieśni Poety, nuty miłości i tęsknoty.

Rezultatem odczytów było uchwalenie następującej odezwy, jednomyślnie przez ogół przyjętej:

Jako żórawie, co łańcuch prowadzą,
Świetniejsze serca wylatują przodem —
Umrą, ich duchy lecą przed narodem,
Umrą, wygnani, to naród wysyła
Posłów — zapraszać niech wróci mogiła.

Wacław.

Zgromadzeni dla uczczenia pamięci Wielkiego Pieśniarza Juljusza Słowackiego i wysłuchania o Nim odczytu przedstawiciele Stowarzyszeń ludowych polskich z municypjum Arancaria w Paranie (Ameryka Południowa) ślemy starej Macierzy — Polsce głosy nasze w sprawie złożenia dostojnych prochów Wygnańca — Poety w skarbcu narodowych pamiątek: Wawelu.

Po przez wody i lądy, które nas dzielą, wyciągamy do Was Bracia — Rodacy dłonie uznojone pracą i sercem łączymy się z Wami w ogólnym pragnieniu i żądaniu narodu naszego, aby stęsknione za Ziemią Ojczystą prochy Poety wróciły na Jej łono i spoczęły w królów przybytku, do którego ten Król pieśni największe ma prawo.

Uważamy za *jedynie* decydujący i prawomocny głos w tej sprawie: *Wolę Narodu* i protestując jak najsilniej przeciwko wszelkim przywłaszczycielom tego prawa, stawiamy żądanie:

1) Aby prochy Wieszcza złożone zostały na Wawelu.

2) Aby miejsce to było świątynią duchów wybranych Polski, *bez względu na wyznanie*, do jakiego je za życia zaliczano.

Podpisy zarządu „Świtu" na kolonji „Campina" w municypjum Arancaria:

Ksiądz Józef Anusz proboszcz Arankarji. Prezes, Teofil Mrorąg. Sekretarz I-szy, Jan Janta. Sekretarz II-gi, Franciszek Wójtowicz. Skarbnik, Franciszek Furman. Członek komisji rewizyjnej, Jadwiga Jahołkowska. Członek Towarzystwa, Helena Jankowska.

Towarzystwo „Wzajemnej Oświaty" na Gażuwirze:

Prezes, Józef Trybek. Sekretarz, Andrzej Muchny. Kasjer, Adam Pabis. Kontroler, Stefan Beściak.

Towarzystwo „Związek" na kolonji Ypiranga:

Prezes, Franciszek Rutecki. Sekretarz, Włodzimierz Tuchn. Skarbnik, Jan Owczarzak. Jakób Ziółkowski. Jan Celiński. Albin Wątroba.

Towarzystwo „Oświata" na Laga Grande:

Prezes. Józef Leśniowski, Wice-Prezes, Ignacy Dybaś. Sekretarz, Maciej Urbański. Kasjer, Józef Baron. Jan Trojanowski, Szczepan Trojanowski. Józef Trojanowski. Antoni Żuklinski. Wojciech Trojanowski. Józef Furman.

Zamieszkali w Firnandes Pincheiro:

Franciszek i Helena Dergintowie.

BADANIA NAUKOWE.

Dzieło Andrzeja Niemojewskiego p. t. „Bóg Jezus".

Wszelkie zagadnienia z dziedziny religijnego życia ludzkości stanowią temat rozważań przebogaty, a wielkie znaczenie studjów nad wierzeniami i instytucjami religijnymi jest widocznym dla każdego, kto zdaje sobie sprawę, jaką olbrzymią rolę odgrywa w dziejach ludzkich religja. Po przeszło stuletniej pracy uczonych, nauka historji religji zajmuje już poważne stanowisko w całokształcie wiedzy współczesnej; dąży do wyświetlenia dziejową mgłą pokrytej przeszłości, aby przez analizę tej przeszłości wytłumaczyć teraźniejszy obraz życia. „Umarli nami rządzą"— powiedział August Comte, myśląc o wielkiej roli tradycji we współczesnym życiu narodów. Trzeba więc poznać tych „umarłych" a jednak żyjących w przekazanej przez nich sile wierzeń, bo tylko przez poznanie władni jesteśmy gościniec życia uprzestrzyć, wypleniając to wszystko, co według naszych pojęć jest już przesądem.

Nauka historji łączy się bezpośrednio z innymi dziedzinami wiedzy i z kolei stanowi ich uzupełnienie: psychologja z natury rzeczy dostarcza cennych wskazówek dla metody badania zjawisk religijnych; socjologja wyjaśnia nam społeczne czynniki religji (socjomorfizm); etnografja i antropologja daje sam materjał badań; lingwistyka umożliwia studja porównawcze nad wierzeniami i systematami religijnymi; filozofja, jako nauka mającą źródło swego pochodzenia w religji, pomaga nam zdać sobie sprawę z tych pierwiastków religji, które stanowią podstawę teologicznej koncepcji świata; historja poucza o roli religji w życiu społeczeństw po przez tysiącolecia. Pole więc dociekań jest ogromne. Badacz więc musi mieć poczucie tego ogromu zagadnień wchodzących w zakres nauki historji religji, powinien pojmować dzieje wierzeń jako syntezę psychicznego, moralnego, obyczajowego i materjalnego bytu ludzkości.

To jest pierwszy warunek naukowego traktowania historji religji.

Trzeba również odczuć całe bogactwo duchowych przeżyć narodów, których byt, sposób życia, ideologja i urządzenia społeczne były nacechowane głęboką, warunkującą wszystko religijnością; trzeba odczuć wielkość i podniosłość tego świata wierzeń, w którym człowiek zaangażował całą skalę swej uczuciowości, od biernego stanu mechanicznie wypełnianych obrzędów aż do chwil ekstazy religijnej; trzeba, powiadam, odczuć to wszystko, ażeby przystąpić do tematu z tej dziedziny z należytą rozwagą i szlachetnością uczonego.

Oto jest drugi nieodzowny warunek stworzenia pracy istotnie wartościowej. I bynajmniej nie potrzeba na to być człowiekiem religijnym: zupełnie słusznie powiedział Nordau, że rozsądnie pisać o głodzie — może tylko człowiek już syty.

* * *

Książka Andrzeja Niemojewskiego o Jezusie jest pracą naukową na dość dużą skalę, a w jakim stopniu odpowiada dwum warunkom, o których była mowa, zobaczymy niżej. Powiedzieć o tym dziele tylko kilka słów niepodobna, gdyż jest za bogate i zawiera zbyt wiele hipotez wysoce ciekawych, a przedewszystkim jest pierwszym tego rodzaju w literaturze polskiej, jeżeli pominąć dawne prace Pawła Ernesta Jabłońskiego, pisane w połowie XVIII wieku i z konieczności dalekie jeszcze od dzisiejszego racjonalizmu. [1]) Niepodobna też pracy Niemojewskiego streszczać: posiada na to zbyt skondensowany materjał dowodowy. Można atoli powiadomić czytelnika o metodzie, jaką się autor posługiwał, o głównych hipotezach książki i o jej znaczeniu naukowym.

Deklarację metody badania znajdujemy zaraz w 1-ym rozdziale, gdzie autor powiada: „Uczony nie potrzebuje dziś zastanawiać się nad pytaniami, czy Bóg istnieje, czy świat został stworzony, czy człowiek ma duszę nieśmiertelną i wolną wolę, [2]) czy istnieje życie pozagrobowe i czy Zbawiciel mógł się narodzić z Dziewicy. On tylko bada bezstronnie, *jakie ludzkość w ciągu wieków miała na to poglądy*, ujęte w systematy religijne. Nie chodzi mu o pogodzenie tych poglądów z wynikami dzisiejszej wiedzy ludzkiej, ale o wykrycie łańcucha rozwojowego wyobrażeń ludzkich wogóle" (str. 7). Metoda więc określoną została wyraźnie. Chodziło też autorowi o odsunięcie czytelnika od przestarzałych już poglądów na postać Jezusa (Renan i Strauss), co właśnie zaraz na początku książki uczynił, wskazując na różnicę pomiędzy tworzeniem tej postaci na obraz i podobieństwo własnych ideałów (ostatnim tego typu uczonym był Albert Reville, o którym zresztą autor nie wspomina), a objektywnym snuciem wniosków z posiadanych już dokumentów, jakoteż racjonalnym poglądem na samą tych dokumentów wartość historyczną i charakter.

Zadaniem, jakie sobie autor w tym dziele postawił, było wykazanie, że cała historja Jezusa jest tylko mitem kosmicznym. Nie potrzebuję dowodzić, jak ogromnie trudnym jest to zadanie i że temat ten jest zaiste wyjątkowy, jak to słusznie mówi sam autor.

Książka dzieli się na dwie części: rozbiorczą i odtwórczą. Część pierwsza poświęcona jest analizie rzekomej, jak sądzi autor, historyczności Jezusa, część druga — wyjaśnieniu tworzenia się wyobrażeń o tej legiendarnej, według niego, postaci.

A więc nasamprzód mamy spis kontradykcji zawartych w ewangieljach, które już przez to samo nie mogą stanowić podstawy do wytworzenia sobie jasnego sądu o nauce i działalności Jezusa. Badając pismo Nowego Testamentu, wykazuje autor, że słowa Uczniów „przerabiano stopniowo na słowa Jezusa, ideje gromadzono dokoła pewnego ideału, dla zbioru aforyzmów szukano aforysty", a prócz tego wylicza te sentencje Starego Testamentu, które później przypisano Jezusowi. Do bardzo ciekawych spostrzeżeń prowadzą Niemojewskiego badania nad objawieniami opisanymi w ewangieljach, dowodzi mianowicie, że teofanje te opisane są ze specjalną celowością „aby to a to zostało dowiedzione, aby taka lub inna zasada potwierdzenie zyskała".

Większe atoli znaczenie naukowe przypisać należy badaniom „świadectw ziemi" czyli dzieł pisarzów, którzy żyli w tej samej epoce, w jakiej miał działać

---

[1]) Powiadam pierwsze, gdyż znakomita książka prof. Ignacego Radlińskiego o Jezusie („Dzieje jednego z synów bożych" Warszawa 1907) nie porusza tych kwestji, jakie na pierwszy plan wysunął Niemojewski.

[2]) Tu pozwolę sobie jedynie zauważyć, że wielkie zagadnienie wolnej woli należy do rzędu metafizycznych, zajmuje umysły współczesnych filozofów i, jak sądzę, nigdy zajmować nie przestanie.

Jezus. „Rzekome dowody historyczne istnienia Jezusa możemy — powiada autor — podzielić na dwie kategorje: podrabiane i iluzoryczne. Wszystkich zaś świadków owej epoki podzielić możemy na miejscowo i czasowo bliższych, którzy zupełnie o Jezusie milczą, albo też teksty ich są sfałszowane, następnie na miejscowo i czasowo dalszych, których zapiski żadnego świadectwa dziejowego nie stanowią".

Owóż, jako świadek epoki, na pierwszym miejscu stoi znakomity pisarz aleksandryjski Filon, który ani jednym słowem nie wspomina o Jezusie. Drugi historyk żydowski tych samych czasów, Justus (o którym wiemy tylko z Flawjusza) milczy również. Dalej, owo miejsce w „Starożytnościach żydowskich" Józefa Flawjusza (ks. XVIII rozdz. III), gdzie mowa jest o Jezusie, Niemojewski uważa za późniejszą wstawkę i całej naiwności tej wstawki dowodzi bardzo przekonywająco. To samo stwierdza zresztą Radliński we wspomnianym dziele: „wzmianka ta i miejsce umieszczenia jej — nie odpowiada znaczeniu podawanego faktu, więc powszechnie za dodatek późniejszy jest przyjętą". (str. 326) W Talmudzie z kolei znajdujemy dane sprzeczne i mające jeno charakter anegdotyczny.

Przechodząc od świadków żydowskich do rzymskich, autor cytuje charakterystyczny list Plinjusza Młodszego do imperatora Trajana (początek 2 wieku naszej ery). List ten świadczy, że chrześcijanie modlili się do Jezusa, jako Boga, ale o człowieku ani słowem nie wspomina. Za najważniejszego atoli świadka epoki uchodzi powszechnie wielki Tacyt, który napisał swoje „Dzieje" około 100 roku naszej ery. Otóż zacytowawszy ustęp o Jezusie, pyta autor: „Dlaczego Tacyt nie wspomina o Chrystusie w księdze szóstej, opisując panowanie Tyberjusza i mając zatym właściwą okazję, ale w księdze piętnastej, opisując wybryki Nerona, więc okolicznościowo?" A dalej: „Jeżeli przytacza się Tacyta jako świadka historyczności Jezusa, dlaczego nie przytacza się go zarazem jako świadka, iż chrześcijanie byli „nieprzyjaciółmi rodzaju ludzkiego". Obydwa te argumenty wydają mi się mniej przekonywającymi, niż poprzednie.

A cóż nam mówią — według autora — „świadectwa uczniów?" Z godną uznania sumiennością zostały wybrane cytaty dowodzące, że Piotr Jezusa prawdopodobnie nie widział, lecz miał jeno „widzenie"; że nie widział go także Paweł, Jan i Juda.

W rozdziale następnym znajdujemy niezmiernie ciekawy, acz szkoda, że skreślony tylko pobieżnie, obraz mitologji porównawczej. Autor charakteryzuje starożytne wierzenia Antjochji, gdzie to, według Dziejów apostolskich „najpierw ucznie nazywano chrześcijany". Antjocheńczycy już dawno przed naszą erą święcili śmierć i zmartwychwstanie Pana (Adonisa). Uroczystości w Antjochji podobne są do egipskich, gdzie znane jaż były nawet Groby umęczonych i zmartwychwstałych (np. grób Ozyrysa). Nawet Jerozolima miała swego Adonisa, imieniem Ammuz, którego zmartwychwstanie opisano w eposie babilońskim Enuma Elisz i w poemacie „Ana Irsziti la tari", przełożonym na język polski przez Antoniego Langego. „Cóż tedy nowego pod względem osnowy faktycznej głosił Paweł Antjocheńczykom — pyta autor — kiedy oddawna cały starożytny Wschód znał Kult Pana, Wodę Żywota, Chleb Żywota, znał okres Wielkiego Postu, znał śmierć Zbawiciela i jego zmartwychwstanie, a nawet ideę trójcy świętej?" (np. Ozyrys, Izyda i Horus w Egipcie, Brama, Wisznu i Sziwa, lub Sawitri, Agni i Vayu w Indjach). Dalej zestawia autor narodziny Jezusa z narodzinami bogów innych krajów i narodów: bogowie Ozyrys, Tammuz, Adonis, Attis, Mitra, Agni, Apollo — wszyscy rodzą się z dziewicy i wszyscy „w grocie narodzenia".

Dodać tu mogę od siebie, że synem boga w wierzeniach pierwotnych Sosomów był ich wódz Tuikila, synami bożymi byli niektórzy królowie Tahityjczyków. W Peru był nim król Huayana Kapak, w Korei — Aicher, w Meksyku — Huitzilopothi; w arabskich wierzeniach znajdujemy Fade'a, syna bożego; w Japonji synem bożym był Jummon Tenno, w starożytnej Persji — Gayo Marateu, w Chinach — Fo-hi i wszyscy niemal bohaterowie narodowi. [3])

Szczególną też uwagę zwraca autor na podobieństwo historji Jezusa według ewangielji do legiendy Buddy według Lalita Vistary i posilkuje się tu pracami Rudolfa Sydela. [4]) Podobieństwo jest istotnie zdumiewające i stanowiło przedmiot wielu badań porównawczych. Lecz badania te wtedy tylko miały charakter istotnie naukowy, o ile celem było wykazanie wspólnej psychologji legiend o dwuch postaciach, mylnym zaś jest traktowanie jednej z nich jako kopji drugiej. Legiendy o bohaterach, zbawicielach, synach bożych i półbogach pośród różnych narodów są wszystkie mniej lub więcej i to nawet w szczegółach do siebie podobne, lecz to nie znaczy, że np. Japończyk tworząc legiendę o swoim Jummon-Tenno wzorował się na meksykańskim Huitzilopothi. Wzajemnego oddziaływania na siebie wierzeń różnych narodów nie należy oczywiście nie doceniać, lecz w równej mierze nie należy przeceniać tego wpływu. [5]) To też wyrażenie autora o ewangielicznym życiorysie Jezusa, jako „osnutym" na legiendzie Buddy, wydaje mi się zbyt ryzykownym, mimo niezaprzeczony wpływ, jakie tu wywarły wierzenia Indów. [6])

(D. n.). *J. W.*

NOTATKI SPOŁECZNO-EKONOMICZNE.

Działalność niemieckich sekretarjatów robotniczych w 1908 r.

Współczesne prawodawstwo cywilne i socjalne, wywodzące swój początek od słynnych 12 tablic rzymskich, tak się od owych czasów powiększyło ilościowo, iż człowiek zwykły, nie-specjalista, nie jest wprost w stanie rozejrzeć się nawet we wszystkich detalach działających kodeksów praw. Bliższe znawstwo wszystkich urzędów, praw, porządków i przepisów, wchodzących w skład ro-

---

[3]) Wyczerpującym studjum na temat cudownych narodzin synów bożych jest książka P. Saintyves'a p. t. *Les vierges — mères et les naissances miraculeuses.* Essai de mythologie comparée. Paryż 1908. Emil Nourry.

[4]) Zauważyć należy, że teksty *Lalita Vistary* (uznane przez buddyjski Kościół południowy) zawierające legiendę Buddy rozpowszechnioną przeważnie w Tybecie, Annamie, Chinach i Japonji, nie są dokumentem najstarszym. Takimi są teksty świętej literatury pali (uznane przez Kościół północny), czczone na Ceylonie i w Siamie, a na pierwszym miejscu niektóre części *Sutta — Nipata*, przetłumaczone przez Maxa Müllera. „Sądzić o życiu Buddy z Lalita-Vistary — powiada znakomity znawca buddyzmu Oldenberg („Buddha, sein Leben, seine Lehre, seine Gemeinde") byłoby takim samym błędem, jak pisać o Jezusie opierając się na legiendach średnich wieków i pomijając Nowy Testament." Lalita Vistara jest dokumentem wysoce ciekawym jedynie jako przyczynek do wyświetlenia psychologji powstawania legiend, których aureolą otaczają daną postać późniejsze pokolenia czcicieli, lecz na zasadzie tego rodzaju dokumentów nie można nic wnioskować o życiu, charakterze i działalności postaci w nich opisywanej.

[5]) Na ten temat patrz doskonałą pracę prof. Goblet d'Alviella: *Migration des symboles* Paryż, Ernest Leroux.

[6]) Oprócz cytowanych przez autora dzieł Rudolfa Sydela o wpływach indyjskich na legiendę chrześcijańską, polecić mogę nowszą pracę L. de la Vallée — Poussin: *Le bouddhisme et les Evangiles canoniques* Paryż 19^6.

botniczego prawodawstwa, inspekcji fabrycznej, ubezpieczeń i sądów, jest dla robotnika rzeczą zgoła niemożliwą. Wobec tego robotnicy często zmuszeni są albo wyrzec się obrony swych prawnych interesów, lub też zwracać się po tanią pomoc do przygodnych, nie-fachowych „adwokatów".

Niemieckie prawodawstwo o ochronie pracy wogóle i o ubezpieczaniu robotników w szczególności wyróżnia się w szeregu innych specjalnym zagmatwaniem i zawikłaniem. Prawo o ubezpieczaniu od chorób z 1883 r., nie licząc zmian, dopełnień i całych nowel z 1885, 1886, 1892, 1900 i 1903 r., liczy z górą 80 paragrafów; prawo o ubezpieczaniu od nieszczęśliwych wypadków z 1884, 1885, 1886, 1887, 1900, i 1901 r. składa się ze 111 paragrafów; prawo o ubezpieczaniu od całkowitej niezdolności do pracy posiada aż 162 paragrafy. Zrozumiałym jest, iż w tym labiryncie praw, dopełnień i zmian zbyt trudno jest się orjentować człowiekowi niewykształconemu. To też dla klas pracujących, przeważnie nielitościwie eksploatowanych i wyzyskiwanych, olbrzymie znaczenie posiadają biura porad prawnych, specjalnie dla nich organizowane, zwane urzędowo sekretarjatami robotniczymi.

Dawniej, do 1894 r. robotnikom wyjaśniały treść wymienionych powyżej licznych paragrafów prawa redakcje organów robotniczych. Lecz te nie mogły pełnić zadowalająco funkcji nie wchodzących w zakres ich kompetencji. Niesienie pomocy prawnej okazało się dla nich zbyt uciążliwym. I oto powstała idea urządzenia sekretarjatów robotniczych wyłącznie dla okazywania pomocy prawnej mnogim rzeszom prawdziwych podpór społeczeństwa. W 1894 r. w Norymberdze, z inicjatywy Karola Grullenbergera, zorganizowany został pierwszy tego rodzaju sekretarjat. Od tego czasu idea sekretarjatów czyni wciąż wielkie postępy i jest bardzo popularną wśród niemieckich klas robotniczych.

Działalność prawna sekretarjatów polega na tym, iż zwracającym sie po pomoc robotnikom udzielane są rozliczne informacje w kwestjach, dotyczących ubezpieczania od chorób, nieszczęśliwych wypadków, zupełnej niezdolności do pracy, ochrony pracy, prawa związków i zebrań, inspekcji fabrycznej i t. d. Następnie sekretarjaty przygotowują niezbędne papiery i dokumenty.

O różnostronnej i owocnej działalności niemieckich sekretarjatów robotniczych dobitnie świadczy drukowane niedawno w pismach sprawozdanie jeneralnej komisji niemieckich zawodowych związków robotniczych. Ze sprawozdania tego dowiadujemy się przedewszystkim, iż w stosunkowo krótkim okresie czasu robotnicze sekretarjaty rozgałęziły się po całych Niemczech. W 1894 r. zorganizowany został pierwszy sekretarjat, zaś w 1908 r. było ich — 103. Wszystkie one są „kością z kości" wolnych, ciążących ku socjal-demokracji, związków robotniczych. W 1908 r. 45 robotniczymi sekretarjatami zarządzały bezpośrednio kartele organizacji zawodowych, miejscowe związki, w których skład wchodziły rozliczne organizacje zawodowe; dla 46 innych sekretarjatów organizacje profesjonalne wyznaczyły specjalne komisje; pozostałymi 12 zarządzał związek górników.

Co do środków materjalnych, to znaczną część sekretarjatów utrzymują miejscowe związki zawodowe W tym celu nakładają one na członków podatek w rozmiarach od 20 fenigów do 1,60 fenig. 12 sekretarjatów funkcjonuje dzięki ofiarności związku górników, 4 z sum ofiarowanych przez jeneralną komisję związków zawodowych, i tylko 3 korzystają z rządowej lub też gminnej pomocy. Ogólny dochód wzzystkich sekretarjatów za 1908 r. równał się 453,157 m. Na dochód ten złożyły się następujące sumy:

Składki związków zawodowych	265,421 m.
Zapomoga od karteli „	126,841 „
„ „ jeneralnej komisji	18,607 „
Od organizacji socjal.-dem.	10,485 „
Rządowe i gminne subsydjum	5,300 „
Ogółem	426,654 m.

Olbrzymia większość sekretarjatów wszystkim robotnikom zwracającym się do nich udziela pomocy prawnej zgoła bezpłatnie. W pierwszym roku ich istnienia powstała kwestja, czy powinny one służyć tylko zorganizowanym robotnikom, czy też wszystkim bez wyjątku. Początkowo zamierzano nie czynić żadnej różnicy. Lecz później zwrócono uwagę na to, iż niesprawiedliwością byłoby korzystać ze związkowych składek robotniczych na rzecz tych, którzy się nie chcieli z nimi solidaryzować, wstąpić do związków i również dążyć do dobra ogółu. Pomimo tak wyraźnego postawienia kwestji, w rozlicznych sekretarjatach w zależności od warunków miejscowych po dziś dzień różnie się na nią zapatrują. To też w 1908 r. w 31 sekretarjatach udzielano porad tylko zorganizowanym zawodowo robotnikom, zaś w 72 wszystkim bez wyjątku robotnikom.

W 1908 r. 103 sekretarjaty udzieliły w 515,139 wypadkach stosownych wyjaśnień i 488,895 osobom okazały pomoc prawną. Według społecznego stanowiska, interesantów podzielić można na następujące kategorje:

Robotników	395,275
Robotnic	69,825
Pozostałych (rzem. pracodaw. i t. d.)	21,650

Z tych wszystkich, 344,623 było zorganizowanych robotników.

Z ogólnej ilości 515,039 wyjaśnień w 36,396 wypadkach udzielane one były piśmiennie. Prócz tego napisano 131,129 próśb, zaś w 4264 wypadkach sekretarjaty wzięły na się wszystkie starania w różnych sądach.

Wyjaśnienia dawane były w następujących kwestjach:

Ubezpieczenia	w	154,784	wypadk.	—30,1%
Ogólne prawo cywilne	„	149,814	„	—29,1 „
Państwowe i gminne prawo	„	75,348	„	—14,6 „
Umowy robotnicze	„	73,759	„	—14,3 „
Prawo karne	„	33,017	„	— 6,4 „
Ruch robotniczy	„	7,509	„	— 1,5 „
Ubezpieczenia prywatne	„	4,889	„	— 0,9 „
Sprawy handlowe	„	3,535	„	— 0.7 „
Prawo związków i zebrań	„	1,093	„	— 0,2 „

Najliczniej korzystano z porad w sprawach ubezpieczeniowych, z których 91,145 przypada na rzecz ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków. Widzimy więc, jakie olbrzymie znaczenie posiadają sekretarjaty dla klasy robotniczej, która, korzystając z ich sumiennej pomocy prawnej, nie daje się z taką łatwością oszukać współczesnym rycerzom wielkiego przemysłu. Nie może też nas dziwić fakt, że ostatnio robotnicy, widząc jaką olbrzymią korzyść przynoszą im sekretarjaty, tak gromadnie zwiększają kadry związków zawodowych.

Zaznaczyć się jeszcze godzi, iż w miejscowościach, gdzie jeszcze nie zostały zorganizowane sekretarjaty, funkcjonują t. zw. Auskunftstellen, których w 1908 r. naliczono 157, i które okazały w 36,618 wypadkach niezbędną pomoc prawną.

Bolesław Rozstański.

LITERATURA i SZTUKA.

Tatry w poezji polskiej. Zebrał i ułożył *Józef Kantor.* Jarosław, 1909. Warszawa, E. Wende i S ka.

Jest to faktem powszechnie znanym, iż poezja „nie idzie" u nas. Autor, który chce obdarzyć rodaków tomem swych poezji, musi być z góry przygotowanym na to, że rodacy nie przyjdą mu z pomocą nawet w pokryciu kosztów wydawnictwa. Ale czyż wobec tego nie jest dziwnym, iż rok rocznie zjawiają się coraz to nowe antologje poświęcane starym, młodym i najmłodszym poetom naszym? Wprawdzie wydawca anto-

logji jest o tyle w szczęśliwszym położeniu, że, dając w jednej okładce najrozmaitszych poetów, zadowolić może najrozmaitsze gusta. Prócz tego wybiera on, rozumie się, „najgustowniejsze kawałki”, odrzuca to, co często bywa „niepotrzebnym balastem”, służącym do „skompletowania” tomu i daje same kwiaty poezji polskiej. Nabywca więc znajduje tu towar w pierwszym gatunku i za lichego rubla może otrzymać np. Młodą Polskę z przyległościami, albo nawet cały parnas Polski wogóle.

Wydawca łowi tu więc ryby przed niewodem, autorowie nie protestują jednak zwykle przeciw temu, pocieszając się myślą, że nowe wydawnictwo przysporzy im bądź co bądź sławy, rozgłosi się imię, a wszak wiadomo, że są oni niepoprawni w swej bezinteresowności i dbają zawsze więcej o kęs uznania niż o dobra doczesne, przed wdzięcznością zaś względem wydawców-dobrodziejów broni ich tylko myśl, że antologji jest tak wiele, więc muszą się one opłacać.

Uwagi te nasunęły mi się pod pióro, gdyż fakt ogołacania świeżo wydanych tomów zaczyna się powtarzać z systematyczną już wytrwałością, a do delikatnej tej pracy zabierają się coraz częściej niepowołane ręce.

Uwag tych nie stosuję jednak do książki, o której obecnie chcę mówić, gdyż podjęta przez p. Józefa Kantora praca wyróżnia się z pośród innych tego rodzaju wydawnictw tym, iż pewna myśl przewodnia spaja ją w jednolitą całość i nadaje jej cechy samodzielności.

„Jak niegdyś w początkach romantyzmu, mówi p. Kantor w swej przedmowie, step ukraiński i ciche lasy i jeziora litewskie — tak dziś ożywiły poezję najmłodszą Tatry...” Założenie to rozwija autor następnie w wyczerpującym studjum literackim, wskazuje, jak olbrzymią rolę odegrały w literaturze naszej Tatry i to nietylko jako pejzaż, będący źródłem natchnienia dla wielu, ale też jako dzielnica, która do skarbca zbiorowej duszy polskiej wniosła odwieczny swój dorobek, przelała do niego własny dobytek cywilizacyjny i starannie przechowane i uszlachetnione pierwiastki rdzennej kultury polskiej.

Kolumbem Tatr był Seweryn Goszczyński, który „z serca a dla podniesienia serc” spisywał swój „Dziennik podróży do Tatrów” i w rymach opiewał „Palenie sobótki”, „Janosika hetmana zbójnickiego” i cały ten „niesamowity urok” Tatr.

Za Goszczyńskim przybyli tu inni, a, zobaczywszy ten kraj, gdzie „chléb sie końcy, a woda i skałe zacynajom”, zaczęli opisywać jego czary i dolę ludu Podhala. P. Kantor grzeszy może przesadną sumiennością i w zbiorze swym zamieścił sporo nazwisk, które z literaturą Podhala nic lub też bardzo mało posiadają wspólnego. Zapewne chodziło mu o wskazanie rozlewności wpływu, jaki na twórczość i twórców naszych wywarła przyroda tatrzańska, że jednak któremuś z sezonowych gości zakopiańskich przyszła kiedyś ochota po raz tysiączny opisać „Morskie Oko” lub „Tatry” w zimie, czy w lecie, na zaraniu, czy w nocy, nie wystarcza to jeszcze do ustalenia wpływu Tatr na jego twórczość ani do stawiania go obok tych, którzy jak Tetmajer, Witkiewicz lub młodzi Podhalanie są synami tych gór, tu wyrośli lub przynajmniej tak się z nimi zżyli i „do cna” w nich zalubili, że stały się one im najbliższą ojczyzną.

P. Kantor podaje sumienną charakterystykę każdego z nich i zatrzymuje się dłużej przy Witkiewiczu i Tetmajerze, którego nazywa „mocarzem samowładnym duszy Podhala, jego języka, jego piękności, smutku i wesela”. Ale i dla młodych, jak Orkan, Gwiżdż i Jedlicz ma on słowa uznania i, kreśląc ich sylwetki, umie chwytać najsubtelniejsze rysy ich odrębności indywidualnej, w każdym z nich widzi „osobny typ poety”, choć wzięci społem, „stanowią nowe zjawisko w poezji Podhala”, stanowią pewną całość, określaną wspólnym mianem szkoły podhalańskiej.

Gdy po przeczytaniu przedmowy przerzuca się kartki książki, ma się wrażenie, że służą one do poparcia wywodów p. Kantora, stanowić mają ilustrację do jego słów. Tak jednak być powinno, gdyż takie powiązanie tekstów z przedmową stanowi tę myśl przewodnią, o której wspominałem na początku, i luźne, wyrwane często z większych utworów urywki spaja w całość dostrojoną do pewnego ogólnego tonu.

Józef Jedlicz: **Jasny i Czarny**. Str. III. Warszawa r. 1909. Nakładem *Nowości Literackich.*

Pan Józef Jedlicz dał się poznać czytającej publiczności wiązanką sonetów drukowanych w „Chimerze.” Misterne, rzeźbione, zwróciły uwagę baczniej zastanawiających się i przepowiadały, że autor będzie stałym mieszkańcem na polskim parnasie. Książeczka obecna czyni nawet przyjemną niespodziankę. Mimo że tematy zaczerpnięte z życia górali podkarpackich miały tak świetnych miłośników jak Tetmajer, Witkiewicz i Orkan, p. Jedlicz z zupełnym powodzeniem walczy z nimi o lepsze. Język mocny, zdecydowany, pejzaże dyszące świeżością i kolorytem, ludzie, gazdowie tatrzańscy dani czytelnikowi w całej prawdzie, powadze i nagości wewnętrznej. Światopoglądowy stosunek autora do środowisk, które przedstawia, czyni książkę nietylko ciekawą, ale nawet pożądaną. P. Jedlicz nie brutalizuje ani idealizuje swoich górali. Ogólno-ludzkie „zmowy” obsiadają duszę Bartka Galika, gdy zległa żona i już rok blizko z łóżka się nie podnosi. Zapienił się chłop w swej rozpaczy i klnie, choć tak bardzo swoją Olechę kocha. Scena, gdy tłumaczy Olešce czemu się uniósł, jest jedną z najpiękniejszych w książce.

— Nie płacz Oleśka, nie płacz. Już sam nie wiem, co robię. Ani zarobku, ani ratunku nijakiego. Nieba bym ci przychylił, słowa marnego nie powiedział, ale zarobek się skończył, pożyczyć nikt nie chce nijakim światem, prosić już nie śmiem. Krewni patrzą na mnie, jak na zbója za to, że chucham na cie, jak na polu i dzieci rodzone krzywdzę.

Książka p. Jedlicza, jak widzimy odsłania życie górali z najistotniejszej strony. Dotychczas mówiono nam o życiu góralskim, jako o czymś egzotycznym, niebywałym, nęcącym kolorowością zewnętrznych swoich walorów. P. Jedlicz ukazał nam duszę górala— człowieka, ukazał nam jego ludzki ból w walce o egzystencję. Że miast postaci legiendarnych (Sabała) dał ludzi z krwi i kości — za to należy p. Jedliczowi podziękować.

Obok dramatu p. Galicy „Przysięga”, książka p. Jedlicza jest najciekawszą o góralach opowieścią, gdyż o ludziach nam mówi.

Eustachy Czekalski.

Z PRASY.

∗ Dnia 1 października ukazał się znów w Warszawie *Kurjer Poranny*, zawieszony d. 1 stycznia 1906 r. — na zasadzie przepisów o stanie wojennym.

Redakcja wznawiając wydawnictwo, które w ciągu blizko 30 lat zrosło się z życiem Warszawy i wiernie je odzwierciadlało — w szeregu artykułów wstępnych odnawia w pamięci czytelników swe tradycje i wspomnienia, które i dla nich stanowią nigdy nie zatartą kartę przeszłości.

Kurjer Poranny w długim okresie martwoty politycznej naszego społeczeństwa był dla Warszawy tylko

miłym i popularnym gawędziarzem, z którym wiązało ją codzienne przyzwyczajenie. Skoro tylko jednak puls życia publicznego pośpieszniej bić zaczął, *Kurjer Poranny* pierwszy z pomiędzy pism codziennych — pojął i ocenił doniosłość chwili dziejowej, zorjentował się w zmienionym położeniu i szerokim zastępom swych czytelników otwierał oczy na ich istotne znaczenie.

Ta jego żywotność, barwność, to ściśle odzwierciadlanie ruchomej — a nawet wzburzonej fali życia—sprawiły, że na jego losach więcej niż jakiegokolwiek innego pisma odbiły się wszelkie wstrząśnienia, które nasze społeczeństwo w tych latach przeżywało. Skoro ogłoszono manifest październikowy, *Kurjer Poranny* — pojmując, że prawo jest póty tylko martwą literą póki jego sztywnych ram nie wypełni życie — fakt dokonany — urzeczywistniać począł wolność prasy w szerokim zakresie, choć nie podzielał iluzji naiwnie wyznawanych przez swych kolegów. Każdy musi mu przyznać tę zasługę, że nigdy nadmierną lękliwością nie ścieśniał miary faktycznych swobód. Przeciwnie; wypowiadając się szczerze i otwarcie — wielokrotnie zaryzykował swe istnienie.

Gdy zawieszono *Kurjer Poranny* — redakcja nie opuściła swych czytelników, lecz wypuściła kolejno w świat szereg dzinników, które pod różnymi tytułami pełniły tę samą co on służbę publiczną z tą samą śmiałością, jędrnością, temperamentem i z tym samym wnikaniem w jądro zjawisk bieżącego życia — z tym samym zresztą ryzykiem i tymi samymi, dotkliwymi dla wydawców, następstwami.

I tak, po *Kurjerze Porannym* zjawiały sie kolejno: *Gazeta Domowa*, *Sport*, *Nasze Życie*, *Dzień Dobry*, *Z dnia na dzień*, *Poranek*, *Złoty Róg* — wreszcie *Przegląd Poranny*. Przetrwał on blizko cztery lata.

Wielką i niezaprzeczoną zasługą redakcji jest, że niosła myśl polityczną w szerokie — warstwy ludności Warszawy. Daleka od partyjnego doktrynerstwa, od służalczej demagogji, stała jednak zawsze na szczerze demokratycznym gruncie, a w doskonale pisanych, pełnych werwy artykułach wstępnych w popularnej formie umiała rzucić promienie jasnego światła na doniosłe zagadnienia polityczne bieżącej chwili.

KRONIKA.

— W Petersburgu odbyło się przedwyborcze zgromadzenie wyborców Polaków. Policja zażądała, by obrady toczyły się w języku rosyjskim. Zdarzyło się to po raz pierwszy, gdyż dotychczas wszystkie zgromadzenia polskie obradowały po polsku Przewodniczący oznajmił, że wniesioną zostanie skarga przeciw temu bezprawnemu postanowieniu, co obecni przyjęli grzmiącymi oklaskami. Trzej kandydaci partji rosyjskich przedstawiali się wyborcom polskim: Kuźmin-Karawajew, Kutler i Sokołow. Odpowiadali na postawione im cztery pytania dotyczące kwestji polskiej. Pierwsze dotyczyło ogólnego stosunku dwuch narodów, drugie sprawy chełmskiej, trzecie sprawy szkolnej, czwarte kwestji wprowadzenia ziemstw na Litwie i Rusi. Najmniej zachęcająco wypadły odpowiedzi kandydata kadetów Kutlera, który poprzestał na ogólnikach, powołał się na program swej partji i wyznał, że się specjalnie sprawami narodowymi nie zajmował. Kuźmin-Karawajew — dawny przyjaciel Polaków —wykazał większe zainteresowanie i większą znajomość rzeczy, jako kandydat bezpartyjny przedstawia jednak mniejszą siłę polityczną. Socjal-demokrata Sokołow — nie wyszedł poza ogólniki. Kolonja polska w Petersburgu stanowiąca przy wyborach czynnik dość poważny, znalazła się wobec trudnego wyboru. Podobno na razie pozostawiono wyborcom wolną rękę, rezerwując sobie zawarcie korzystnego bloku przy wyboraeh ściślejszych.

— Wybory posła do Dumy z miasta Petersburga zakończyły się zwycięstwem kadetów. Kandydat ich Kutler otrzymał przeszło 12 tys. głosów. Po nim najwięcej głosów miał socjal-demokrata Sokołow t. j. 4,677.

— Związek zawodowy mularzy pragnąc przyprowadzić do skutku sąd rozjemczy z przedsiębiorcami budowlanymi, uprosił ze swej strony na sędziów polubownych pp. Ludwika Krzywickiego, adwokata St. Patka i Czesława Hulanickiego.

— Wystawa częstochowska została zamkniętą d. 3 października.

— W Kijowie odbyło się zebranie wyborców Polaków gub. Kijowskiej dla omówienia kandydatury na posła do Rady Państwa. Ponieważ przedstawiciel policji zażądał, aby dyskusja toczyła się po rosyjsku, a gubernator zainterpolowany telefonicznie żądanie policji potwierdził — obecni zrzekli się dyskusji i przeszli odrazu do balotowania kandydatów. Wybrano znaczną większością A. hr. Bobryńskiego.

— Na skargę wniesioną do senatu z racji zamknięcia polskiego towarzystwa „Oświata" w Kijowie — nadeszła obecnie odpowiedź potwierdzająca, że towarzystwo to wraz ze wszystkimi oddziałami zostało zamknięte.

— W Berlinie odbyło się wielkie zgromadzenie Polaków. Korzystając z toczącej się obecnie kampanji wyborczej (skutkiem unieważnienia mandatów socjalistycznych), ogłoszono zebranie za wyborcze i obradowano po polsku. Potępiono tam politykę Koła polskiego w kwestji reformy finansów, gdyż uznano ją za szkodliwą dla klas pracujących.

— Na najbliższej sesji Dumy ma być postawiony wniosek zniesienia kary śmierci i poparty bardzo poważnym materjałem statystycznym. Ubiegły rok 1908 zaznaczył się większą niż poprzednie liczbą wyroków śmierci, gdyż wydano ich 2569. Pod względem ilości wyroków śmierci pierwsze miejsce w tym roku zajmuje Odesa i jej okręg, drugie Kazań, trzecie okręg warszawski. Najmniej wyroków śmierci wydano na Kaukazie.

— Wykryto w Warszawie tajne biuro emigracyjne, które wyłudzało pieniądze od rodzin mających zamiar emigrować, pod pozorem ułatwiania wyjazdu i opłacania kosztów podróży. Podobno wiele rodzin padło ofiarą oszustwa.

— Nowy kanclerz niemiecki Bethman-Holweg jedzie do Rzymu celem porozumienia się w sprawie obsadzenia arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego.

— W Szwajcarji w okolicy Chur dało się odczuć silne trzęsienie ziemi.

— W Charbinie odbył się uroczysty obchód ku czci Słowackiego, urządzony przez tamtejszą kolonję polską.

— W sprawie skazanych na śmierć za udział w napadzie na pociąg w Bezdanach Świrskiego i Zakrzewskiego uzyskano wstrzymanie wyroku. W obronie Świrskiego interwenjował poseł Babiański domagając się ekspertyzy lekarzy psychiatrów, Świrski bowiem zdradza objawy obłędu. Zakrzewski jako poddany austryjacki jest przedmiotem interwencji dyplomatycznej. Aerenthal telegrafował do ambasady austryjackiej w Petersburgu celem wstrzymania egzekucji. Prawdopodobnie obie sprawy w drodze kasacyjnej przejdą do głównego sądu wojennego w Petersburgu.

— W Nowym Jorku usiłowano dokonać zamachu na prezydenta Tafta

— W Egipcie wzmaga się ruch anty-angielski. Podejrzywają w tym agitację niemiecką.

— W Charbinie wywiązał się zatarg między władzami rosyjskimi a konsulatem niemieckim.

— D. 6 b. m. wybrani zostali do Rady Państwa następujący posłowie z Królestwa Polskiego: L. Kronenberg, p. Stefan Wielowiejski, Zygmunt hr. Wielopolski, Ignacy Szebeko, Józef Ostrowski i Stefan Godlewski.

Książki nadesłane do Redakcji.

— Bronisław Bouffałł: „Bosfor i Dardanele wobec Aneksji Bośni i Hercegowiny". Skł. główny: Warszawa, Gebet. i Wolff.

— Dr Stefan Surzycki: „Planowanie organizacji gospodarczej". Warszawa, Geb. i Wolff.

— Zofja Rygier Nałkowska: „Rówieśnice". Warszawa, Gebethner i Wolff

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwa „Prawdy".

Antoni Szech: **Na sąd was wzywam**	Cena k.	30
Jerzy Kurnatowski: **O Solidaryzmie**	„	20
E. St Rappaport: **Radykalizm**	„	20
Józef Wasercug: **O postępie w religji**	„	10
Iza Moszczeńska: **O wychowaniu religijnym**		15
Stefanja Sempołowska: **Z dna nędzy**	„	25
Stefan Gacki: **Stieńka Razin**	„	30

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. R kopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.